

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 207.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 1 pól.

Warszawa, 12 września 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU. Od redakcyi. — Pomnik Tadeusza Juzumowicza (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Toruń, dokończenie (z dwoma drzeworytami). — Albrecht książę pruski (dokończenie). — Jerzy Sebastyan Lubomirski, marszałek w. koronny, hetman polny. — Chorwacya i Sławonia. — Szachy. — Rebus.

OD REDAKCYI.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie i nadal w tym samym jak dotąd zakresie i pod takimiż warunkami.

W miesiącu października rozpoczniemy druk powieści *J. I. Kraszewskiego* p. n. **Pomywaczka**, z ilustracyami Gersona. Oprócz tego mamy przygotowanych kilka szkiców powieściowych *J. Dzierzkowskiego*, *Obrazy Rusi Czerwonej Władysława Zawadzkiego* i t. p., wszystko to z licznymi drzeworytami.

Cena Tygodnika pozostaje ta sama, to jest w Warszawie:
rocznie . rsr. 8 k. —
półrocznie . „ 4 „ —
kwartalnie „ 2 „ —
miesięcznie „ — „ 67½

Na prowincyi i w cesarstwie:
rocznie . . . rsr. 12
półrocznie . . . „ 6
kwartalnie . . . „ 3
z nadmienieniem, że prenumeratoremie z cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą kopertowe od każdego egzemplarza rsr. 2 rocznie. Jeśli Tygodnik ma być wysyłany w kopercie innego pisma, to redakcyja uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma przy nadsyłaniu pieniędzy.



POMNIK TADEUSZA JUZUMOWICZA.

Szanowni prenumeratorowie zechcą zapisywać się wcześniej na właściwych stacyach pocztowych, od tego bowiem zależy będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów kwartału.

W razie nieregularnego odbierania numerów Tygodnika, lub otrzymania ich w stanie uszkodzonym, porożniętym, zmiętym, zbrudzonym lub podpisywanym atramentem, lubo to wszystko nigdy z winy redakcyi pochodzić nie może, raczą szanowni prenumeratorowie odwoływać się do redakcyi lub zarządu pocztowego w Warszawie, a zażalenia ich załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

Komplety Tygodnika, obejmujące 15 kwartałów siedmiu tomach, mogą być nabywane w redakcyi po cenie: tom I^{sz} (jako złożony z trzech kwart.) rsr. 6, tomy następne po rsr. 4.

POMNIK

Tadeusza Juzumowicza.

Żmujdz, ta święta, mlékem i miodem płynąca ziemia, mało jeszcze jest nam znana. Żmujdzini, lud bardziej myśli i czynu, aniżeli słowa i pióra, nie dba-

jąc o to czyli kto kiedy wygłaszać będzie ich chwałę, ciągle wiedli walki na śmierć i życie z Krzyżakami i strumieniami krwi pisząc swe dzieje, poruczali je rodzinnym rzekom i dziewiczym lasom, ażeby choć te nieme świadki przed następnymi pokoleniami o świetnej rycerskiej ich przeszłości zaświadczyć mogły. Żmujdz pogańska, w ciągłych zostając z wrogiem zapasach, każdą piędź ziemi krwią uświęciła; Żmujdz chrześcijańska, chociaż w innych znalazła się warunkach, nie zerwała ze starą swą przeszłością i czując pamiętki pradziadów, nowymi wspomnieniami je pomnożyła. Mało kto o nich wiedział, bo Żmujdz zamknięta w sobie, jak sama nie zaglądała do drugich, tak również i obcych u siebie niemiłe widziała; były tu jednak wielkie serca, zjawiały się niepospolite postacie, które w swoim kółku bez rozgłosu działając, na ziemi swych ojców się grzebały. Tym sposobem Żmujdz jest niemal ziemią nieznaną i wiadomości nasze o niej ograniczają się na zwykłych powtarzaniach, że to piękna i żyzna kraina, naród mężny, zdolny, cnotliwy. Mało kto z nas przysłuchiwał się posępnym jej piosnkom, zajrzał do głębi ducha narodu, zbadał jego charakter, a jeszcze mniej takich, co osobliwie zwidzali święte miejsca Żmujdzi, co obiegli uroczę brzegi Niewiaży, Dubissy, Świętej, Niemna.

Zostawiając innym badanie ducha i pamiętek Żmujdzi, zamierzamy tu podać kilka rysów z życia męża, który najdzielniej przyczyniając się do dzwignienia oświaty w swój stronie rodzinnej, był filarem jedyne go wyższego na Żmujdzi zakładu naukowo-duchownego.

Tym mężem jest ś. p. ks. Tadeusz Juzumowicz.

Dla lepszego ocenienia zasług tego nieodżałowanego kapłana i poznania charakteru jego działalności, przyjrzyjmy się widowni na której przez całe życie działał korzystnie dla narodu i z chluby dla siebie.

Żmujdz przyjęła wiarę Chrystusa r. 1414, a w r. 1417 w Wornjach założono biskupstwo, przez Marcina I papieża w 1421 r. zatwierdzone. Duchowieństwo dla dyecezyi żmujdzkiej pierwiastkowo kształciło się w Wilnie, od roku zaś 1587 zjawiają się jezuiti w Wornjach i mają sobie dozwolone nauczanie młodzieży, co i wykonywają do r. 1614. Od r. 1622 seminaryum pod kierunkiem jezuitów spotykamy w Krozach; w r. 1741 wychowanie młodzieży duchownej poruczono zakonowi pijarów, ale od r. 1751 znowu nauczają jezuiti aż do swego upadku. W r. 1774 misyonarze zajęli ich miejsce, po usunięciu których w 1842 r. księża świeccy zjawiają się jako profesorowie. W 1845 r. seminaryum z pod władzy biskupów wyjęte, oddano pod zarząd duchownej akademii w Petersburgu; w roku jednak 1849 napowrót biskupom je zwrócono, w których zawiadywaniu po dziś dzień zostaje. Tym sposobem miasto Wornie, stając się stolicą biskupstwa, było zarazem głównym siedliskiem nauki i oświaty całego duchowieństwa. Obok księży świeckich, powstały rozmaite zakony, jak: jezuitów, pijarów, bernardynów, dominikanów, karmelitów i innych. Jedni i drudzy zaczęli zakładać przy kościołach szkoły. I tak w r. 1507 w mieście Tawrogach spotykamy pierwszą na Żmujdzi szkołę, drugą w Janiszkach (1503 r.), a trzecią w Jurborgu pod r. 1557. Znakomitsze między szkołami były: w Krozach, Kiejdanach, Rossiejniach i Kalwaryi.

W tych właśnie okolicznościach zjawiał się Juzumowicz, jako professor seminaryum dyecezyalnego i kaznodzieja katedry żmujdzkiej; o ile zaś na tym stanowisku umiał być pożytecznym, przekonamy się z pokrótce podanego zyciorysu.

Tadeusz Juzumowicz urodził się na Żmujdzi, we wsi Rubikach, 1809 r. Początkowe wychowanie otrzymał w domu rodziców, uczył się potem w szkole parafialnej w Siadach, kład następnie przeszedł do gimnazjum w Kalwaryi. Szkoła ta, trwając od roku 1644 pod imieniem parafialnej, zamieniona w r. 1803 na czteroklassową, w r. 1818 na sześcioklassową, a w r. 1825 podniesiona do stopnia gimnazjum, oddana odznaczała się doborem nauczycieli i miała już swą naukową tradycją. Juzumowicz, od natury obdarzony wielkimi zdolnościami i najpiękniejszymi przymiotami duszy, celując we wszystkich naukach, szczególnie oddał się ojczystej starożytniej literaturze i w krótkim czasie pozyskał powszechne uznanie swoich nauczycieli. Po ukończeniu kursu gimnazjalnego w r. 1829, obrał sobie stan duchowny, wstępując do seminaryum dyecezyalnego w Wornjach na Żmujdzi. W tym czasie nauczycielami byli tutaj księża misyonarze. Po skończeniu kursu, nie mając jeszcze lat potrzebnych do wyświęcenia na kapłana, Juzumowicz zajął się nauczycielstwem w szkole parafialnej w Siadach, tam właśnie, gdzie dziecięciami będąc sam się uczył. Po otrzymaném święceniu na kapłana, dla ukończenia własnego wykształcenia, udał się do głównego seminaryum do Wilna (b. wydział teologiczny

przy uniwersytecie), gdzie po chlubnie skończonych naukach otrzymał stopień magistra teologii. Wyższy ten naukowo-duchowny zakład miał wybornych profesorów, co i samą naukę i zastosowanie jej w życiu umieli wlać w swoich uczniach. Tutaj zacerpnął bogate wiadomości, z wyrobionym charakterem i światłą głową a najlepszym sercem, w r. 1838 od biskupa księcia Giedrojcia otrzymał wezwanie na kaznodzieję katedralnego i profesora seminaryum.

Tu dopiero zaczyna się żywot publiczny Juzumowicza. Pełen nauki i gorliwości, znalazł się zarazem na kaznodziejskiej mównicy i professorskiej katedrze, na dwóch miejscach, gdzie i zdolności wykazał i rzeczywistą korzyść przynieść można. Juzumowicz nie spoczął chwili; pełen młodzieńczego zapału, wymownie głosił słowo Boże, a w umysłach uczniów budził chęć i zaszczycał zasady zdrowej nauki. Wkrótce też otoczyły go powszechny szacunek i miłość młodzieży.

Pierwszym praktycznym krokiem Juzumowicza było utworzenie konwiktów, dla uzupełnienia przygotowawczych wiadomości młodzieży, mającej się poświęcić stanowi duchownemu. Wykład nauk odbywał Juzumowicz ze zwykłym sobie talentem, a uczniowie jego, noszący nazwę aspirantów lub łacinników, po rocznym lub dwurocznym kursie przyjmowani byli do seminaryum.

Skromny ten zakład wkrótce się rozwinął na obszerną skalę, i wydał piękne owoce. Juzumowicz, działając żywym słowem na swoich uczniach, zamierzył przez nich następnie oddziaływać na całą dyecezyę. Ta piękna myśl znalazła swe zastosowanie: drugi synod łęczycki nakazywał, żeby przy wszystkich kościołach parafialnych utworzono szkoły. Rozwijając tę zasadę, Juzumowicz pragnął, żeby na całej Żmujdzi nie było chłopca, któryby czytać nie umiał. W tym celu wpał w młodzież duchowną poczucie konieczności wprowadzenia w życie tych szkółek, przez które chęć do nauki w ludzie zaszczylił i seciny tysięcy ksiązek moralnej i religijnej treści po dyecezy rozrzucał. Następnym tego działalności było pocieszające zjawisko, że w krótkim czasie we wszystkich kościołach na Żmujdzi naród obojętnej modlił się na książkach. Krok to wielkiej wagi; za rozkrzewieniem bowiem światła pomiędzy narodem, zrodziła się i wstrzeźliwość, która tak wymownie o harcie duszy i mocy charakteru ludu zaświadcza.

W r. 1842 miejsca misyonarzy jako profesorów w seminaryum zajęli księża świeccy. Pierwszym z takich profesorów od r. 1838 był Juzumowicz; później dopiero przybyli nowi pracownicy, w osobach Proniewskiego i Kulwińskiego, ludzi zdolnych i nauce oddanych.

W r. 1845, z powodu reorganizacji seminaryum przez akademię duchowną, z dawnego grona profesorów sam jeden Juzumowicz pozostał, w charakterze profesora teologii i filozofii moralnej, oraz inspektora akademii. Obok niego zasiedli dawni jego uczniowie, a wychowawcy akademii duchownej.

Juzumowicz, pracując wciąż w wytkniętym kierunku, przy współdziałaniu profesora Raczkowskiego wydał w r. 1846 „Senas Auksa Autorius“ (stary złoty ołtarzyk), książkę przeznaczoną do modlitwy dla ludu, i prócz tego napisał „Elementorius“ (elementarz) dla czytania po szkołach wiejskich, który później po jego śmierci staraniem brata Antoniego wyszedł z druku. Zostały jeszcze w rękopismach: kazania, homilie i mowy pogrzebowe, z których na śmierć biskupa Giedrojcia miana, zyskała rozgłos powszechny.

Ciągle oddany pracy i do tego tak różnorodnej, Juzumowicz potrzebował chwil wypoczynku, i znajdował je w czasie wakacji w domu rodziców, dla których był pociechą i podporą. Rok-rocznie przez miesiąc lipiec Rubiki, zwykle ciche ustronie, nabięrały nowego życia, i tutaj niejedna pożyteczna myśl się wylęgała, niejedna powstał projekt. Tak np. tutaj powzięto zamiar wydawania periodycznego pisma w języku żmujdzkim.

Tak biegły lata cicho i spokojnie. Opatrzność błogostawiała pożytecznym pracom; ale stopniowo nadwątlały się siły i niespodzianie nawidziła choroba, która ostatecznie je zlamiała. Choroba trwała długo, przybierając rozmaite fazy. Wornie i dyecezya długo między nadzieją i smutkiem śledziły za biegiem choroby, zanosząc modły do Boga. Wszystko jednak było na próżno:—w d. 2 czerwca 1854 r. powołał go Bóg do swęj wiekuistej chwały.

Ciężka to strata; w osobie bowiem jego runął najdzielniejszy filar seminaryum, ozdoba dyecezyi i najtkliwszy przyjaciel ludu. Miasto przywdziało żałobę, a zwykle ciche jego ulice zaległy tysiące ludu rozmaitych wyznań, odprowadzając go na wieczny spoczynek na cmentarz parafialny, na którym wdzięczna młodzież wzniosła mu pomnik, tu w rysunku załączono-

ny, jako swemu nauczycielowi i przyjacielowi. Od czasu założenia seminaryum jest to pierwszy publiczny pomnik; dostatecznie też świadczy o rzetelnych zasługach i rzadkiej cnotcie Juzumowicza.

Kronika tygodniowa.

Dienniki donoszą, że od nowego roku parę domów gry w Niemczech będzie skasowanych.

Dotychczas te domy gry tolerowane były nie tylko dla dochodu jaki czynią, ale i dla ruchu jaki sprawiają. I rzeczywiście, dla niejednego księstwa wielkiem jest dobrodziejstwem ta wędka na cudzoziemców, którzy przyjeżdżając z pieniędzmi, nie wszystkie na stolikach z czarnym i czerwonym zostawiają. Muzyka, bale, koncerty, przedstawienia teatralne, przejażdżki, polowania, wszystko to dla mieszkańców jest niemalém źródłem dochodu, a pieniądź świeży ciągle przychodzi.

Sprawa ta, jakkolwiek ubocznie, i nas także trochę obchodzi i nie pisalibyśmy o niej, gdyby tak nie było. Niemało rodaków naszych bawi obecnie zagranicą. Pojmujemy jeszcze konieczną podróż dla zdrowia, chociaż i tu na miejscu znalazłyby się zaradczki środki. Nasze sztuczne wody mineralne niewiele się w skutkach od zagranicznych różnią, a przecież i świeże transporta tych ostatnich ciągle sprowadzane bywają przez handle tutejsze. Są jednakże wody takie, jak karlsbadzka na przykład, które daleko korzystniejszą pić na miejscu, i dlatego pojmujemy to, że ktoś niebezpiecznie chory, szuka sobie tam ratunku. Ale trudno nam pojąć w czem obecność w domach gry niemieckich i wrazenia tamże doznawane mogą dopomóc kuracyi. A jednak tam turystów naszych bawi niemało i niektórzy nawet tak są przekonani że tam jest ich miejsce, iż zmieniają nazwiska i napotykaniani przez współziomków, na powitanie ich obcą odzywają się mową, udając cudzoziemców.

Jest to daremna śmieśność, dodana do nagannego postępowania.

I widocznie fortuna sama zdaje się wskazywać tym panom, że błędną udali się drogą, bo gra im nie służy, i jak słyszeliśmy, wielu z nich znaczne bardzo summy przegrało. Wprawdzie obraca się to im na korzyść, bo kto się zgra do grosza i udowodni że znaczne kwoty w banku utopił, ten od właścicieli domu gry otrzymuje pewną sumkę na wyjazd, pod warunkiem że wydali się natychmiast i nie będzie dalej próbował szczęścia. A czynią to ci panowie dla uniknięcia samobójstw, do których gracze zruinowani bywają nader skłonni, a które są zbyt ponurym cieniem w jaskrawym domu gry obrazku. Więc pomimo woli gracze odarci ze wszystkiego wydalić się muszą z szranków turniejowych. Ale cóż nam po tych Magdalenach pokutujących, które nie czynią już złego, bo nie są w możności czynienia go dalej? Brała nas chęć wymieni tu parę nazwisk, albo przynajmniej liter początkowych, z dokładnym opisem osobistości, i wyznajemy że z trudnością powstrzymujemy się od tego. Może słowa nasze dojdą do tych panów i posłużą do upamiętania ich, jakkolwiek i tak kończąca się zwykła pora (saison) wygna ich z tamtąd. Ale od granic niemieckich Paryż niedaleko, i ci conie przegrali jeszcze wszystkich zapasów w Homburgu lub Baden, mogliby pragnąć dobawić się w stolicy Francji.

Tutaj także musimy się wytłumaczyć dwóm czy trzem korespondentom z wód, że opisu życia jakie tam pędzą nie widzimy potrzeby umieszczać. Sprawa to małej wagi dla czytelników naszych. Więć powiem, wyliczenie osób które tam bawią, zajęć ich i rozrywek, niewielką dla nich stanowiłoby przysługę. Niechaj ratują drogie swoje zdrowie; szczęśliwymi będziemy, widząc ich powracających w kwitnym stanie; ale dyaryuszów ich podróży nie myślimy wcale drukować. Dość już ziomekowie nasi porobili odkryć poza Odrą, a opisanie niemieckich hotelów, sklepów, przejażdżek miejskich i miejskich rozrywek, nie ma już wcale dla nas barwy nowości.

Oto list jakiśmy otrzymali:

„Pozwól mi, panie kronikarzu, w imieniu wielu innych gospodyń warszawskich, wnieść zażalenie tylnokroć powtarzane już na rzeźników i piekarzy warszawskich. Doprawdy, chleb jaki otrzymujemy obecnie nie jest do jedzenia. Czarny jak glina, stęchły i niewypieczony. Jak go ukroić kawałek, a położyć na obrusie, to ślady wilgoci po nim się pozostają. Taki chleb żadną miarą dla zdrowia nie może być pożytecznym, bo obrachowany jest na to, żeby o ile możności najwięcej ważył, z ujmą zdrowych i pożywnych jego części.

„I dziwna rzecz; na ulicy gdzie mieszkam znajduje się kramik, w którym sprzedaje się chleb wypieka-

ny przez starozakonnego, otóż ten chleb jest daleko bielszy, smaczniejszy i lepiej wypieczony od tego, jakiego nam dostarczają piekarze chrześcijańscy. W wypieku ciasta widać dbałość o porządek; nie znajdzie tam ani gruzelków, ani żadnych ciał obcych, które w chlebie przez piekarzy naszych dostarczonym niezadko dają się spotykać. Któżby powiedział że starozakonni w przysposobianiu codziennego pokarmu dadzą nam przykład staranności i porządku?

„Ale nie na tém się kończy. Świeżo teraz przez starozakonnego zbudowane jatki, mogłyby służyć za wzór innym zakładom tego rodzaju. Istnieje tam porządek wielki, wytworność nawet. Wystawa, stoły, narzędzia, wszystko czyste, aż świeci się, mięso porządnie krajane, dla kupujących grzeczność przykładowa. Cóż za różnica z naszymi jatkami, przez które nie można przejść bez obrzydzenia!

„Gdybyż tam przynajmniej umiano każdą część rozdzielać według życzenia kupujących. Ale któż się zatroszczy o to? Chcesz rosółu, dadzą ci pieczeń; chcesz pieczeń, dadzą ci sztukę mięsa tylko na rosół przydatną, a nie waz się odrzucić, bo nie nie dostaniesz. Znam dwie kucharki, na które za zbyt zuchwałe odezwanie się ogłoszony został wyrok wywołania. Gorsze to od klątwy kościelnej. Gdziekolwiek ukazała się która z tych biednych ofiar zawziętości rzeźniczej, wszędzie jej odmawiano nie wody i ognia, ale mięsa, które również jak i tamte potrzebne jest do zdrowia. Aż wyganiane ze wszystkich stron, upokorzone, skruszone, nieszczęśliwe musiały się udać w pokorę i przeprosić panów rzeźników. Taka to ostra subordynacja utrzymywana jest przez tych panów w miejscu ich urzędowania.

„Odzynam się więc do pana, ażebyś w tej ważnej kwestyi chciał przemówić parę słów przekonujących. Starozakonni dają nam dobry przykład, naśladujmyż go.“

Nie pierwsza to i nie ostatnia skarga na przekupniów warszawskich; mamy ich jeszcze kilka pod ręką, z których jedną przytaczamy.

„Sprzedająca owoce na placu przed kanoniczkami, w tych dniach o godzinie 3ciej z południa rzuciła zgniętą gruszkę na podszlę, porządnie ubraną kobietę i poplamiała jej nie tylko suknię, ale i okrycie. Pani owa, nie mogąc, jak się zdaje, dać sobie rady z przekupką, odwoływała się do przechodniów, i jeden z nich udał się z nią do straganiarki, przekładając jej niewłaściwe i grubiańskie postępowanie. Ale straganiarka, nie szczędząc dalszych wymysłów, obwiniała tę panią, że kupiwszy od niej owoc za 4 grosze, zjadła go i nie chciała zapłacić. Staruszka zaprzeczała temu twierdzeniu, utrzymując że oddała przekupce 4 grosze w sporze będące. Kto winien, nie wiem; lecz czy osoba porządna, a do tego w podeszłym wieku, mogłaby się dopuścić takiego drobnego ulicznego oszukaństwa? Bądź jak bądź, z uwagi że chociażby przekupka miała słusność, nie godziło jej się za czterogroszową stratę, robić szkodę daleko więcej wynoszącą, i że osmielona bezkarnością, mogłaby sobie podobnie postępować z naszymi matkami, siostrami, żonami, podając panu ten fakt do dalszego użytku...“

Niestety, szanowny korespondencie! głos nasz niema wcale wpływu na przekupki warszawskie. Są one nieczułe na wdzięki literatury, nawet illustrowanej, bo gdyby było inaczej, dawno już postarałyby się o zniesienie cen owoców, na których drogość po kilka razy wyrzekaliśmy bez żadnego skutku. I gdyby zależała od nas kontrola faktów tego rodzaju, z pewnością zaprowadzilibyśmy porządek co do takich nadużyć, które zbyt często powtarzają się u nas, ażeby je za odosobnione wypadki można uważać.

Ale wybaczcie. Dałem się unieść potokowi wyrazów i niechcący popełniłem niesprawiedliwość. Zarzuty uczynione przezemnie straganiarkom, z powodu oziębłości ich na wdzięki literatury pięknej, są niesłuszne. Winienem uczynić odwołanie i dopełnić tego. Sami osądźcie. Rzecz tak się ma.

Kilkanaście dni temu zapragnąłem kupić sobie trochę owoców. Dla ludzi z miernymi funduszami rzecz to w tych czasach nielatwa i dobrze podreptać muszę, zanim gdzie dopytają się nie o przystępną już, (bo to dziś rzecz niepodobna) ale przynajmniej o mniej wyciągniętą cenę. Zachowawczy kieszeniowy instynkt zaprowadził mnie za Żelazną bramę. Będzie to już wielkiem nieszczęściem, pomyślałem, jeżeli pomiędzy tyłoma straganami nie znajdę choć jednego, coby mi zacenił gruszkę mniej niż po dziesięć groszy. Dopytuje się więc tu i owdzie, ale cena mnie odstrasza; dochodzę nareszcie do jakiegoś straganu na uboczu stojącego i nie patrząc już na sprzedającą, zadaję niemiła po kilkakrotnie już powtarzane zapytanie:

— Po czemu gruszki?

Niema odpowiedzi.

Zdziwiony tém milczeniem, podchodzę bliżej i spoglądam na straganiarkę.

Siedzi ona poza swoim kramem z książką w rękę. Twarz jej blada ze wzruszenia, (o ile twarz przekupki może być blada), w oczach kręcą się łzy, a ręce trzymające książkę drżą widocznie ze wzruszenia.

Zdumiony i zaintrygowany, powtarzam zapytanie głosić.

Tym razem straganiarka snadź usłyszała mnie, bo odwróciła oczy od książki i wymieniła cenę. Chociaż kwota żądana za gruszkę niewiele różniła się od wymagań innych straganiarek, zatrzymałem się jednak zaciekawiony i wziąłem parę gruszek, chcąc tym sposobem nabyć prawa do zaczećcia rozmowy.

— Widzę że pani lubisz czytać, rzekłem, rozkoszując się niby kupionym owocem, dla zyskania przychylności kupcowej.

— A tak, trochę.

— I co też pani czyta?

— Ot widzi pan.

I to mówiąc, podała mi książkę.

Spojrzałem na tytuł. Była to *Marya Malczeskiego* w złotówkowej edycji.

— I podobają się pani ta książka? rzekłem, oddając ją straganiarce.

— Ach panie. Jakże to prześliznęła rzecz! A co za hultaj ten ojciec Waclawa! Jabym go panie rozdarła własnymi rękami. I trzeba nieszczęścia że to trafiło na taką delikatną osobę jak ta panna Marya, bo gdyby to się mnie przydarzyło... no już nie powiem więcej.

I poczęła po swojemu rozwodzić się z wrazeniem jakie na nią poemat Malczeskiego uczynił.

— I pani tak codzień czyta? zapytałem.

— A coż robić, proszę pana? Patrzeć wiecznie na te gruszki i śliwki, to się i znudzi nareszcie. A kiedy się nauczyło czytać, to trzeba korzystać z tego. Mam swoje książki i pożyczane i zawsze jest coś nowego. O już kupa tego przeczytało się, proszę pana.

Skloniłem się z poszanowaniem przed tém lubownictwem ojczyźstego piśmiennictwa, które z salonów aż poza stragan schronić się musiało. Gdyby kto chciał się przekonać o prawdziwości słów moich, to niech zada sobie trochę trudu i przejdzie się za Żelazną bramę.

Straganiarka ta wprawdzie niezawsze siedzi przy swoim kramie, bo daje się czasem zastępować przez inną; ale po kilka razy kupowałem już u niej owoce i zawsze spotykałem ją nad książką.

A teraz doniosę wam o innym fakcie, również na bruku warszawskim zebrany.

Przechodziłem przez plac teatralny.

Z jednego ze sklepów tam istniejących wyszedł jakiś jegomość i zawołał:

Dorózka!

Naturalnie zajechało zaraz kilku pretendentów, bo, jak wiadomo, plac teatralny jest głównym stanowiskiem doróżkarzy czekających na *dobrych panów*. *Dobry pan*, w wyobrażeniu naszych doróżkarzy, jest ten, który każe przedź jechać i podwojny albo potrójny kurs płaci za to. Skarżą się oni na powolne znikanie rasy tych dobroczyńców swoich; ale nie wyginęła ona zupełnie, sami zaraz przekonacie się o tém.

Jegomość, o którym mowa, wybrał najpokazniejszą dorózkę, najlepsze konie, siadł i kazał się odwieść do hotetu Litewskiego, o sto dwadzieścia sześć kroków ztamtąd, bo je liczyłem.

Tam wysiadł, rzucił doróżkarzowi dwuzłotówkę i wszedł do hotelu.

Trzeba dodać że pogoda była prześlizna, na ulicach suchuteńko, jegomość ów wydał mi się zdrowy i silny, że zaś wcale chory na nogi nie był, dowodzi to że wskoczył do dorózki bez odemknięcia drzwiczek.

I cóż powiecie o takim poszanowaniu pieniędzy? Widać łatwo one muszą przychodzić temu jegomości, kiedy tak do nich żadnej ceny nie przywiązuje; ale czyliby nie znalazł na nie lepszego użytku, aniżeli kazać się odwozić doróżkarzowi przez ulicę o kilkanaście kroków?

PRZEGLĄD

POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

11 września.

Narady frankfurtskie ukończone; władcy niemieccy odjechali do swoich stolic, a jednoś niemiecka nie posunęła się ani na krok dalej. Przewidywałem taki rezultat obrad, bo stanowcza odmowa Prus musiała wpłynąć na postanowienia znacznej części Niemiec, garnących się chętnie pod sztandar Prus protestanc-

kich. Zresztą propozycje wiedeńskie nie zadowolily nawet zwolenników hegemonii austriackiej, tak dalece, że większość książąt oświadczyła się przeciw nim, inni zaś postawili swe warunki i wnioski, a cała sprawa pójść może z łatwością ad acta. Wyznać wszakże należy, że treść obrad nie jest jeszcze dostatecznie znana, a to co przypadkiem wcisnęło się w kolumny dziennikarstwa, nie daje dokładnego w tej mierze wyobrażenia. To tylko jest pewnym, że dualizm zagroza dziś Związkowi więcej aniżeli kiedykolwiek, i w razie silnego dyplomatycznego starcia, Niemcy, na wzór stanów amerykańskich, z łatwością rozdzielić się mogą na dwie odrębne grupy, konfederacje. Zachowując się nawet w granicach li-tyko faktów prawnych, niepodobna wątpić o coraz silniejszym rozbracie Wiednia z Berlinem. Za nowy tego dowód posłużyć może dekret króla Wilhelma z d. 2 b. m., mocą którego izba poselska rozwiązana została. Raport ministerium stanu, przedstawiając królowi cały bieg sporu izby z koroną, tak się między innymi wyraża: „Stan rzeczy w państwie w. kr. mości nie daje powodu do zmiany wyrażonych wówczas opinii, których słusność w. kr. mość uznał, ale na polu ustawy Związku niemieckiego ukazały się zabiegi mające na celu osłabić stanowisko Prus w Niemczech i Europie, stanowisko po przodkach odziedziczone.“ Słowa te wykazują cale niezadowolnienie Prus z wypadków zaszłych w Frankfurcie i pewną dążność uzyskania w nowej izbie potwierdzenia tej niechęci gabinetu ku austriackim „zabiegom.“ Co do Europy, w ogólności narady frankfurtskie przyjęte były z zajęciem, ale bez obawy, z wyłączeniem § 8 projektu, żądającego wystąpienia całego Związku niemieckiego, nietylko w razie napadu na grunt niemiecki, ale nawet w razie naruszenia równowagi europejskiej. Innymi słowy, żądano włączenia wszystkich ziem niemieckich (podlegających Austrii i Prusom) do Związku niemieckiego. Utrzymują że w skutek uwag gabinetu francuzkiego, § 8 zmienionym został. Nowe wybory w Prusach nastąpią zapewne w końcu b. m.

Pogłoski o protestacji rządu waszyngtońskiego w przedmiocie nowych zmian w Meksyku nie otrzymały dotąd urzędowego potwierdzenia. Zato kwestya budowania statków wojennych w Anglii i Francji wzbudziła podejrzenie prezydenta Lincolna i wywołała korespondencyą, w której Anglia dowodzi że statki te nie są przeznaczone dla separatystów, lecz zamówione zostały przez kupców francuzkich. Ze swej strony Monitor francuzki dostatecznie objaśnił sposób widzenia rządu francuzkiego w tej sprawie. Dziennik urzędowy powiada, że Francya wraz z innymi mocarstwami uznała stany południowe jako stronę wojującą i że z tego powodu każdy statek separatystów w razie uszkodzenia może być naprawianym w portach francuzkich. W ogólności od pewnego czasu w dziennikach półurzędowych paryzkich przebijają dążność uznania stanów oderwanych, jak to między innymi głosi nowa broszura pod tytułem: Francya, Meksyk i Stany skonfederowane. Z Meksyku nowin niema. Juarez trzyma się jeszcze i pomimo wszelkich usiłowań Francuzów, nie udało im się dotąd wyparować go z kraju. O przyjęciu lub odrzuceniu korony meksykańskiej przez arcyksięcia Maksymiliana, także nie pewnego nie słychać. Zdaje się że przyjazd deputacji meksykańskiej rozstrzygnie dopiero tę wątpliwość. Wyjazd cesarza Napoleona do Biarritz, odkładany z dnia na dzień, najpewniej jeszcze na dni kilka wstrzymanym zostanie. Pogłoski o oziębieniu stosunków Austrii z Francją i odwołaniu księcia Meternicha, przyjmować należy z wszelką ostrożnością. Siły morskie Francji w zatoce meksykańskiej mają być znacznie zwiększone.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constit. France.)

Ostatnie depesze. Berlin 9 września. Dziennik N. D. Allg. Ztg. ogłasza mowę króla do członków kongresu statystycznego. Książę następcy tronu był dziś na kongresie. Na radzie ministrów były obrady nad manifestem królewskim.

Londyn 8 września. Raport urzędowy potwierdza zburzenie twierdzy Sumter, po siedmiomiodniowym bombardowaniu. W razie zdobycia Charlestonu, Butler zostanie komendantem Karoliny południowej. W Nowyorku ukończono konskrypcyą. Zabrano separatystom 400,000 wałtuchów bawełny.

Paryż 8 września. Wyjazd cesarza do Biarritz oznaczony jest na czwartek. Ambasador austriacki otrzymał posłuchanie przed wyjazdem cesarza. W Madagaskarze nowe rozruchy. Howasi chcą zemścić się za śmierć Radamy II, o którym mówią że żyje jeszcze. W d. 13 lipca nastąpiło pierwsze starcie, w którym do 4000 Howasów zginęło.

TORUŃ.

(Urywek historyczno-opisowy.)

(Dokończenie).

Ludność dzisiejsza Torunia, składająca się z Polaków, Niemców i Żydów, w liczbie 12,000, (1) utrzymuje się głównie z handlu pogranicznego. Przedmieścia jego, dawniej składające się z 28 ulic i 3ch parafij, ani śladu po sobie nie zostawiły; nędza je zniszczyła i z ziemią zrównała. Winnice, któremi miasto za Winryka Kniprodego były otoczone, ledwie przechowały się w nazwisku, jakimi okoliczne wzgórza dziś jeszcze są mianowane. Że winnice w Toruniu istniały, jest rzeczą niezawodną. Osłonięte lasami od wiatrów i mrozów północnych, wydawały tyle wina, że całe krzyżackie piwnice były niemi założone. A musiało to być dobre wino, kiedy Krzyżacy raczyć niemi śmieli Kazmirza Wielkiego i innych mocarzy ówczesnych, przyjmując ich w Malborgu u siebie. (2) Całe miasto, otoczone murami, wałami i fosą, przedzielone murem ceglany na dwoje, zamknięte 9ma bramami i cytadelą od strony Wisły, jest wysokiej wartości dla Prus. Każda połowa miasta ma oddzielne targowiska, a na jednym z nich stoi duma Torunian, дума Polaków, wielki Kopernik, brązowym złożonym posągami uczczony.

Na środku toruńskiego rynku wznosi się w gotyckorenessansowym stylu gmach rady miejskiej. Ściany jego, rozpoczęte w surowym stylu niemieckim (1393 r.), z koleją wznoszenia się budowli, wdzięwały na siebie ozdoby i kroje, jakie czasy współczesne tworzyły, stawiały na surowo zasklepionych łukach wieżyczki i frontony, zapowiadające styl odrodzenia, aż wreszcie, przy zupełnym ukończeniu budowli w 1602 r., opięły się dokoła nad gzymsem, jak koroną, szczytami z essów i dziwnie pokrzywionych linii, już nachylających się ku niesmacznemu barocco XVII stulecia.

Martwy świadek wielu wieków, w sukni całemi pokoleniami dorabianej i przekształcanej, istnie w kamieniu przejść umysłowej kultury, z średniowiecznej togi, do filozoficznej peruki,—dlugo gmach ten cało i zdrowo poglądał na krzyżowe zapasy, zjazdy królów i zbory uczonych a sławnych ludzi, dopóki nie upadł pod armatami Karola XII (24 wrze-

śnia 1703 r.) w czasie srogiej a nieszczęsnej wojny północnej.

W 35 lat dopiero po oblężeniu miasta został odbudowany. Nowy jego budowniczy, przejrawszy plany starego ratusza, zastosował się do nich i wystrawił go tak, jak go dziś widzimy.

Zewnętrzną jego strukturę rysunek objaśnia, wewnętrzna zaś składa się z czworoboku, równoległego, z dziedzińcem w środku i z trzema bramami wchodowymi. Ściany jego wieńczą frontony, a węgły ich zdobią wieżyczki, nad którymi panuje czworoboczna 100 stóp wysoka wieża.

Z pamiątek dzisiejszych ratusz ten mieści w sobie: Salę sądów przysięgłych, z portretami królów pol-

niński, nadający Krzyżakom ziemię tegoż nazwaną z r. 1251; przywileje dla miasta Torunia, z 1266 r.; akta związku ziem i miast pruskich, wypowiadających zakonowi posłuszeństwo, z 1440 r.; privilegium incorporationis, czyli zdanie Prus wschodnich Koronie polskiej z 1454 r.

Pieczenie miejskie, stemple do wybijania monety, formy przysięg na wierność królom i inne szacowne z lat dawnych zabytki, nagromadzone w tym zbiorze, zasługują także na uwagę starożytników i dziejopisarzy.

Mój Boże! jakież tu rzeczy razem się zebrały i w zgodzie z sobą spoczęły! Dzieło Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium“ leży obok krwawej, w całun o-

prawnej kroniki, opisującej ścięcie Rösnera i jego towarzyszy; obok muzycznych narzędzi, stoi długi miecz teutoński; folianty krzyżackie, volmina polskie, rzeczy pruskie, po tylu walkach, zawodach i starciach, układły się obok siebie w szafy jak w trumny.

Zaraz naprzeciw posągu Kopernika, położony jest teatr, w którym letnią porą przyjeżdżająca z Gdańska trupa, grywa opery, tragedye, komedye i czego kto żąda. Ściany tego teatru złożone są z murów dawniej giełdy, w której Torunianie przyjmowali królów i posłów koronnych i zagranicznych. W téjże samej giełdzie zmarł goszczący tu król Jan Albrecht, d. 17 lipca 1504 r. Portret jego, z natury przed śmiercią zdjęty, zawieszony jest obok wizerunków Krzyżaka Balka i Kopernika w kościele św. Jana.

Kościoły toruńskie, dziś tylko w liczbie pięciu istniejące, są wszystkie odległej starożytności i w pięknych gotyckich krokach stawiane.

Oprócz dwóch niższych zakładów naukowych, Toruń posiada i wyższe gimnazjum, z wielkim nakładem wzniesione. Dziedziniec jego, szklanymi taflami z wierzchu przykryty, zapewnia uczącej się młodzieży przechadzkę wczasie ślot i zimna. Gimnazjum odznacza się szczególnie gruntownym wy-

kładem nauk filologicznych; muzyka, taniec, gimnastyka, fechtowanie i t.d.są także przedmiotem stałych w niemi lekcyj. Z nauczycieli jego sławni są: Jan Albin Kries, autor dowcipnych bajek i dytyrambów, i Ohm matematyk; z uczniów Samuel Soemering anatom, i Samuel Bogumił Linde, znany nasz słownikarz, zyskali rozgłośnie imię.

Ogólny widok Torunia ma w sobie coś rozrzucającego prawie. Niezarty typ dawności i powagi przemawia tu tak silnie z wąskich uliczek, z wysokich o dziwnych szczytach domów, pełnych od frontu posągów, rzeźb, malowań, że przybysz oderwany od



RATUSZ W TORUNIU.

skich, od Wacława czeskiego, aż do Stanisława Poniatowskiego.

Izba rady miejskiej, ozdobiona wielkim obrazem przedstawiającym Gustawa Adolfa, z napisem „król polski“ wjeżdżającego konno po schodach na posiedzenie senatu toruńskiego. Obok zaslepionego dumą zwycięzcy, wisi wizerunek Rösnera, nieszczęśliwej ofiary fanatyzmu religijnego.

Drzwi, stoły i szafy w tych salach odznaczają się wytworną rzeźbą, inkrustacyami z metalów i kolorowanego drzewa po ich blatach układanemi.

Archiwum miejskie, liczące 500 sztuk znakomitéj wartości dyplomatów, między innymi: traktat chel-

dni dzisiejszych, wodzi pamięcią po tém cmentarzysku dawnej potęgi i chwały, patrzy po jego grobowcach, basztach i potrzaskanych bramach i dziwi się że z tylu zwalisk wielkości ledwo kościoły zostały.

Wł. Olszewski.

ALBRECHT KSIĄŻĘ PRUSKI.

(Opowiadanie historyczne).

(Dokończenie).

Tymczasem król, zwoławszy sejm do Torunia, zjechał na niego z początkiem grudnia r. 1519. Wojska miał przy sobie tylko 1600 jazdy, lecz oczekiwał na najemne oddziały z Czech, Morawii i Ślązka. Mistrzowi wyznaczono nowo rok do Torunia, celem wykonania hołdowniczkiej przysięgi, a gdy się nie stawił, posłano mu wypowiedzenie wojny; poczem zaraz wojska polskie, ze znacznym oddziałem Kozaków i Tatarów, wkroczyły do kraju zakonnego. Prabuta, zwykle mieszkanie biskupa pomerańskiego, nie chciała się poddać Stanisławowi Kostce; zato Hava niemiecka wypędziła załogę biskupią, a w Schoenbergu chętnie naszym otworzono bramy. Roznosili Tatarzy po kraju niestłuchane spustoszenie, nie oszczędzając nawet domów Bożych, starców, kobiet i dzieci. Wielki mistrz ze swęj strony na początku r. 1520 zajął Braunsberg; Polacy zaś wzięli szturmem, spalili i zrabowali Działdów, a Dombrowno, Morungę i Rastenburg osadzili bez oporu. Prabuta, a bardziej jeszcze Kwidzyna, Preuschmark i Holland, lubo silnie ostrzeliwane, broniły się Polakom. Gdy jednak Elblązanie przecięli drogę pomiędzy Braunsbergiem i Hollandem, mistrz krzyżacki, widząc się pozbawionym wszystkich miast z lewej strony rzeki Pasargi, ruszył na odsiecz Hollandowi; ale zastawszy kraj naokół spustoszony i w nim ośm tysięcy Polaków, zwrócił się ku Królewcowi, gdzie była słaba załoga, a między mieszczanami wielu wręcz się z tém oświadczało, że panowanie polskie daleko jest miłsze i lżejsze, aniżeli wielkiego mistrza. Równocześnie oddział złożony z Polaków i Żmujdzinów uderzył na inne wojsko krzyżackie pomiędzy Liebmühl i Osterode, pobił je, a w skutek tego zajął Osterode i Altenstein. Biskup pomerański przeciwnie puścił dwa oddziały na spustoszenie Prus królewskich, z których jeden spalił przedmieście, a nawet część miasta Christburga, wiele młynów i domów, drugi łupił i dokazywał około Sztumu.

W lutym 1520 r. Polacy dostali się na drugą stro-

nę rzeki Pasargi, a Gdańszczanie wyprawili po Neryndze oddział, aby wpaść do Sambii; lecz tameczny biskup powołał cały lud do boju i zagroził im drogę. Królewscy w liczbie czterystu otoczyli Melsak, miasto warmińskie, które mistrz był ubiegł, i zmusili je do poddania się. Mistrz więc pośpieszył z Królewca i po siedmiogodzinnym boju Melsak odzyskał. Inny dowódca krzyżacki odniósł znowu korzyści nad drugim oddziałem polskim, otworzył komunikacją z Królewca do Hollandu i w żywność i wszelkie potrzeby tameczną załogę zaopatrzył.

Wśród tych wzajemnych zapasów, strat i korzyści, po zaciętym boju i silném z dział strzelaniu do mu-

sobliwie gdy Polacy do Prabuty, stolicy dyecezyi jego, ostro szturmowali, przysłał oświadczenie do Torunia, że w myśl wieczystego traktatu z r. 1466, uznaje króla polskiego za swego prawego pana i natychmiast przysięgę wykona. Miasto Bartenstein poddało się także wojsku królewskiemu, a nadto zajęto Friedland, Świętą Siekierkę, poprzecinano drogi między Braunsbergiem i Królewcem i już na przedmieścia tego miasta wpały polskie podjazdy.

W ten sposób mistrz zagrożony szukał pomocy, a przynajmniej pośrednictwa, w Rzymie, Niemczech i po różnych zagranicznych dworach. Ale wszystkie pośrednictwa i poselstwa nie wymódz nie zdołały na królu, który stale przy tém obstawał, że Krzyżaków od lennictwa i wykonywania przysięgi uwolnić nie może. Tymczasem papież Leon X, dla usmierzania wojny w Prusach, a przyłączenia sił polskich do ogólnej wyprawy na Turków, wzywał cesarza Karola V, aby się także wdał w pośrednictwo na korzyść Polski, która, jak twierdził, ma tę wielką zasługę, że w nieustannych walkach zasłania Niemcy i całe chrześcijaństwo od Tatarów. (1).

Obok tego wojna przykrzyła się już nie tylko miastom, ale i rycerstwu świeckiemu kraju zakonnego. Zgromadzone stany w Królewcu prosiły mistrza, aby pozwolił im wysłać poselstwo do króla, a mistrz, lubo słuchał tych wniosków z wielką niechęcią, nie był jednak w stanie im się oprzeć i tylko ze swęj strony dał stróża tym posłańcom. Tymczasem zamek Brandeburg, postrzelany działowemi kulami kamiennymi, poddał się wojsku polskiemu, a następnie w drugi dzień świątek Mikołaj Firlej z Dąbrowicy, hetman i wojewoda sandomierski, dowódca naczelny Polaków, zbliżył się do wojskiem pod mury samego Królewca i wezwał miasto do poddania się, oferując mu równą wolność i przywileje, jakich Gdańsk i inne miasta używały. Zwlekali Królewczanie ze sta-



KOŚCIÓŁ PANNY MARYI W TORUNIU.

rów Kwidzyna, biskup tameczny, straciwszy już wszelką nadzieję pomocy, prosił króla w środku marca o łaskę i opiekę, a mieszczanie wykonali przysięgę wierności; w końcu zaś kwietnia poddało się drugie bardzo ważne miasto, to jest Holland. Przyczynili się do tego wielce Gdańszczanie, najzawziętsi nieprzyjaciele Krzyżaków, wspierając wojska królewskie żywnością, amunicją i bronią, oraz utrudniając mistrzowi komunikacją morską z Joachimem kurfirstem brandenburgskim, od którego pieniędzy i wojska oczekiwał.

Temi wypadkami ustraszony biskup pomerański, o-

nowczą odpowiedzią, nawet ognia do Polaków dawać zaczęli; to jednak tyle wpłynęło na wielkiego mistrza, iż usłuchał zdania swych doradców i osobiście udał się do króla do Torunia, gdzie uchwalono rozejm dwutygodniowy. Zygmunt oświadczył, że mistrza przed złożeniem hołdu Koronie nawet przed oblicze swoje puszczać nie może. To pozbawiło Albrechta ostatniej nadziei i już się nakłaniał do uroczystej przysięgi; chodziło tylko o wyznaczenie dnia i godziny. Nagle

(1) Ob. Breve Leonis X ad Carolum V de dato Romae 20 Decembris 1520. Dogiel. Cod. dipl. tom IV sub anno 1520.

przyniesiono mu wiadomość, że 2000 wojska najemnego z Danii wylądowało w Sambii, dopomagając w zasłanianiu Królewca przeciw Polakom, a zarazem że kurfirst brandeburski Joachim dobija układów względem posiłków niemieckich. To spowodowało mistrza, że postanowił na miejscu wywinąć się z hołdu królowi, a podawszy różne pozory niby zgwałconego rozejmu, opuścił Toruń.

Zawrzała nanowo wojna i towarzyszące jej zniszczenie. Cała okolica od Królewca do Bałgi i Braunsberga zamieniła się w pustynię. W zamian oddział krzyżacki około dwieście wsi w Mazowszu złupił i w perzynę obrócił. Mistrz marzył już o odzyskaniu wszystkich ziem pruskich i w skutek tego wezwał biskupa warmińskiego o wyrazne zerwanie stosunków z królem, a poddanie się zakonowi. Równocześnie stolicę jego Heilsberg, na czele pięciotysięcznego wojska ze znaczną liczbą dział, wezwał także do poddania się. Oblężenie ciągnęło się długo; przeszło ośmset kul żelaznych, a dwieście ognistych puszczone na miasto; ucierpiały wiele domy i mury, spalono prawie do szczytu obadwa przedmieścia; lecz załoga, złożona z Polaków i Czechów, stawiała mężny opór. Krzyżacy zamierzali odstąpić i nawet odciągnęli już z wojskiem; ale wzmocnieni oddziałem infanckim i najemnikami ze Szwecji, nanowo rozpoczęli oblężenie. Nadto 3,000 jeźdźnego rycerstwa i 11,000 pieszych knechtów, pod dowództwem rycerza Schoenberga i grafa Eisenberga, ciągnęło z Brandeburgii z pomocą dla zakonu. Ci zaraz przy wstępie do kraju polskiego wzięli miasto Międzyrzec w Wielkopolsce, a gdy je załoga polska zapaliła i uszła do zamku, Niemcy opanowawszy także ów zamek, wszystko w pień wycięli, z wyjątkiem tylko dwóch rotmistrzów, przez chciwość wykupu przy życiu zachowanych. (1521 r.)

Zaczęto się lękać nawet o Poznań. Przeclaw Lancorowski i Jędrzej Tęczynski, kawalerowie jerozolimscy, małemi oddziałami bardzo skutecznie niepokoiłi i szarpali Niemców, którzy od Międzyrzecza ciągnęli na Skwierzynę, gdzie Wartę przebyli. Dalej szli przez Drezdenko, a gdy pod Wałczem i Tucznem do Prus wchodzili, znów z nich Lancorowski ośmdziesięciu położył trupem, a trzydziestu zabrał; w innym zaś miejscu Jan Zaremba wojewoda kaliski sto pięćdziesięciu jeźdźców w zbrojach żelaznych i sześćset piechoty częścią pobił, częścią do niewoli zabrał i królowi postać. Następnie jeszcze opanowali Chojnice, z wyjątkiem dobrze osadzonego zamku, Starogród i Tczew, które musiały się od spalania okupić. Król ze swjej strony posłał pomoc do Gdańska, a trzy tysiące tak rozstawił na Żóławach wzdłuż Wisły, iż pomiędzy nadchodzącym nieprzyjacielem a obozem krzyżackim, oblegającym ciągle jeszcze Heilsberg, przeciął wszelkie komunikacje; sam zaś z głównym wojskiem przez Kujawy cofnął się do miasta Wągrowca. Niemcy, nie mogąc przejść Wisły, zwrócili się ku Gdańskowi, jednym oddziałem zajęli stanowisko pod samymi murami tego miasta, drugim z góry Biskupiej rozpoczęli ogień na miasto, lecz wielkiej nie zrzadzili szkody, bo mieli tylko dwa działa cięższego kalibru. Na tém też skończyło się powodzenie Niemców, zakradł się bowiem w szereg ich głód i brak fundusów. Mistrz zabierał srebra kościelne i bił z nich pieniądze, lecz to wszystko nie wystarczało i niepłatni żołnierze ciągle odmawiali posłuszeństwa swym przełożonym. Do tego przyłączyły się dżdżowe i niepogody jesienne; część przeto Niemców od Gdańska rzuciła się w okolice Oliwy, rabując tam, niszcząc i paląc i wkrótce cała wyprawa się rozpierzchła. Czego Polacy pod dowództwem Mikołaja Firleja wojewody sandomierskiego nie wygnietli, to do księstwa pomorskiego uciekło. Podobnie król, wracając do Prus od Wągrowca przez Bydgoszcz, odebrał Tczew, Starogród i Chojnice. Mistrz wielki nie mógł już oczekiwać pomocy z Infant, gdyż Jan Radziwiłł starosta żmudzki tak poprzekopywał i strażami poobsadzał drogę nadmorską i jedyną do Prus, że nawet człowiek pojedynczy przemknąć się nie zdołał. Krzyżacy więc w końcu zebrać musieli pieniądze i prosić o litość sprzymierzeńca cara moskiewskiego; ale im ztamtąd odpowiedziano urągliwie, aby najprzód przynajmniej zajęli Gdańsk, Toruń i inne pruskie miasta, albo też aby w pochód na Kraków ruszyli.

Mistrz Albrecht ujrzał się więc w najsmutniejszym położeniu, lękać się bowiem musiał że nie tylko z Prus całkiem zostanie wypędzony, ale nawet że niepłatne rozbitki jego napadną zbrojnie przeorstwa krzyżackie w Niemczech, dla wyciśnięcia wysłużonego żołdu swego. Z tém więc wojskiem, które jeszcze w Prusach pozostało, robił jakie mógł układy, a przywróciwszy w niem jakiegokolwiek posłuszeństwo i porządek, nie marzył już o walnych bitwach i wojnie zaczepnej, starając się tylko szkodzić naszym w dorywczych napadach. Tak po kilku potyczkach z wojskiem królew-

skiem zapalił przedmieścia Lubawy, zabrał Neumark, gdzie była słaba załoga polska, wpadł nakoniec znów do Mazowsza, gdzie ogniem i mieczem nie mało szkody wyrządził. W odwecie Elblążanie wraz z wojskiem polskiem, korzystając z nieobecności Albrechta, zniszczyli i rozwalili do szczytu piękny zamek krzyżacki w Hollandzie, który, jako gniazdo ich wycieczek, przyczyniał się do ciągłych szkód w okręgu elbląskim.

W ciągu jednak tej wojny i krwawych utarczek, zabiegi względem układów prawie nie ustawały. Mistrz podtrzymywał je dlatego, aby przez przewłokę doczekać się szczęśliwszych może okoliczności, król zaś, aby sprawę zakonu do szczytu odłączyć od interesu ogólnego Niemiec i dopiero odosobnioną zawładnąć. Do zawiązania układów pokojowych i to także było podnieta, iż Turcy coraz częściej napadali na kraje naddunajskie, a Ludwik Jagiellończyk król węgierski i czeski, oraz cesarz Karol V myśleli usilnie o wojnie przeciw sultanowi Solimanowi, do której i Polskę wciągnąć zamierzano. W skutek też tego, za staraniem poselstwa węgierskiego i po kilkumiesięcznych zachodach, ułożono najprzód zawieszenie broni do niedzieli kwietniej 1521 r., a nakoniec rozejm na lat cztery. Przez ten czas kwestyą składania hołdu i spór cały, jako sędzia polubowny, miał rozstrzygnąć król węgierski Ludwik, synowiec Zygmunta.

Tak się skończyła ta wojna, prowadzona przez rok i kilka miesięcy, bez znamienitych bitew i zwycięstw, ale z zaciętością niesłychaną.

Biegł przez ten czas wielki mistrz na wszystkie strony, lecz zewsząd coraz większe na jego głowę gromadzić się zaczęły kłopoty. Najpierw król Zygmunt nie chciał się wdawać w żadne nowe umowy, żądając tylko aby dawniej z zakonem umówione warunki wieczystego pokoju dopełnione zostały. Mistrz ciągle czuł niedostatek pieniędzy, a nie mogąc ich dostać ani od mistrza infanckiego, ani od niemieckiego, nietylko uciemniał swoich poddanych, ale cłami obdzierał do skóry każdego, kto tylko z krajem krzyżackim był w handlowych stosunkach. Oburzone tém miasta Prus królewskich, odcięły swym ziemiom krzyżackim wszelki związek na drogach i rzekach z innymi sąsiednimi krajami. Nienawiść przeciw zakonowi urosła do tego stopnia, iż z Prus królewskich i z Mazowsza wpadały bandy do ziem zakonu i łupiły kupców i ludzi wracających z jarmarków; nawet mieszczanie królewskie burzyli się przeciw zakonowi i Albrechtowi samemu. On tymczasem, aby wydobyć się z tego położenia, starał się już to na dworze cesarskim o tytuł księcia rzeszy, to znów domagał się kilku dworców krzyżackich w Niemczech; zapewnił sobie wreszcie dochód od swego krewnego arcybiskupa mogunckiego w ten sposób, iż miał go zastępować w Norymberdze, jako radca namiestnika cesarskiego i zato tysiąc złotych ćwierćrocznie pobierać. Gdy jednakże arcybiskup, dla braku pieniędzy, nie uiszczał się, zaczął wielki mistrz wchodzić w nowe umowy z wypędzonym z kraju Christiernem królem duńskim, zamierzając z nim razem uczynić wyprawę na zdobycie Szwecji. Dla zgromadzenia więc w tym celu wojska, uwijał się po całych Niemczech.

Podczas pobytu swego w Norymberdze, gdzie także na zjeździe rzeszy niemieckiej zasiadał, i podczas swych podróży po Niemczech, zapoznał się z wyznawcami nowej wtedy nauki Lutra. Będąc zaś zagrożony od Polski, a napominany od papieża, aby zakon do porządku przyprowadził, nasłuchawszy się w Norymberdze nauk przeciw kościołowi katolickiemu od Andrzeja Osiandra, wszedł nakoniec w stosunki z samym Lutrem, mając nadzieję że poda mu radę do wydobycia się z tak trudnego położenia. Luter naturalnie kazał mu rzecz całą rozpocząć od kościoła i zaprowadzenia nowej nauki, to jest aby „głupią i przewrotną regułą odrzucił, żonę pojął i Prusy na świeckie księstwo zamienił.“ (1) Mistrzowi zdawało się to zrazu rzeczą tak dziwną, iż bez zrobienia żadnej uwagi, tylko się na tę radę usmiechnął. Uporządkowanie stosunków w Prusach po zwinięciu zakonu, zapowiadało zbyt wiele pracy i kłopotów; powziął więc zamiar zrzeczenia się swjej godności na Eryka księcia brunświckiego, który był także Krzyżakiem w Prusach, sam zaś zamierzał wejść w służbę francuzką Franciszka I.

Gdy się król Zygmunt o tém urzędownie dowiedział od przybyłego do Krakowa posła francuzkiego, wysłał natychmiast do Norymbergi Achacego Zema (Czema) starostę nowogrodzkiego, i niby od kanclerzy królestwa Krzysztofa Szydłowieckiego i Piotra Tomickiego biskupa poznańskiego doradzić kazał mistrzowi, aby złożył swą godność na korzyść króla, a zostanie hoj-

nie wynagrodzonym w dobrach i pieniądzech. Mistrz wysłuchał przychylnie tych przełożeń, rozmawiał poufale z Zemem, a nawet przyznał mu się pod tajemnicą, że rzeczywiście wierzy w zasady Lutra, a więc rychłej czy później będzie musiał zmienić swoje stanowisko. Dodał dalej iż nad wnioskami króla będzie się musiał dobrze zastanowić, a potem dopiero zawiązanie układów poruczyć może bratu swemu Jerzemu margrawi brandeburskiemu i szwagrowi Fryderykowi księciu lignickiemu, rządcy niższego Szlązka, którzy już w Polsce jego sprawę prowadzili. Tymczasem zaś tak on jak i Luter zalecali powiernikom swoim w Prusach krzyżackich, aby do zniesienia zakonu i zamienienia tego kraju w świeckie księstwo, lud tameczny wszelkimi siłami przysposabiali. Nietrudne były te zabiegi, nowa bowiem nauka znajdowała u tamecznego ludu miłe przyjęcie, osobliwie gdy przez to pozbyć się mogli najłatwiej znienawidzonego powszechnie zakonu. Chętnie także stosowali się do tych rad Krzyżacy, i coraz częściej słyhać było w Prusach, że ten lub ów rycerz zakonu lub ksiądz wszedł w śluby małżeńskie i z żoną już gospodarstwo prowadzi. Sam nawet Jerzy Polenz biskup sambijski i rządca kraju zakonnego pod niebtytność wielkiego mistrza, nowej nauce sprzyjał i pierwszy ze wszystkich biskupów na świecie, przystanemu od Lutra kaznodziei, poprzednio zakonnikowi franciszkańskiemu, dobrowolnie ambonę kościoła swego katedralnego powierzył, a wkrótce potem zalecił czytanie biblii, według tłumaczenia Lutra. Naturalnie za tém poszło, iż pousuwano z kościołów ołtarze i obrazy, zajęto na rzecz rządu srebra i sprzęty kościelne, a zakonnikom królewieckim kościoły i budynki lud złupił i zniszczył. Ten przykład w stołecznym mieście Królewcu wpływ wywrzeć musiał przeważny na kraj cały. Niektórzy więc tylko księża i bracia zakonu w Prusiech trzymali się jeszcze swych ślubów, najczęściej może aby mieć przez to sposób do życia; lecz wkrótce do tego doszło, że żaden Krzyżak, bez wystawienia się na obelgi od chłopów, nie mógł się na ulicy w płaszczu zakonnym ukazać.

Wśród takiego położenia, mistrz Albrecht, już to ze względów dyplomatycznych, już też aby okazać przeważne znaczenie osoby swojej w tych stosunkach, przynaglał sędziów polubownych o wydanie wyroku w sprawie jego z królem polskim i sam w tym celu jeździł najpierw do arcyksięcia Ferdynanda, a potem do króla węgierskiego Ludwika, udając przed nimi najgorliwszego katolika i nieprzyjaciela herezyi. W listach zaś pisanych do Rzymu i do legata papieżkiego w Niemczech utrzymywał, że wszelkie pogłoski o odszepieństwie kraju zakonnego są częścią przesadzone, częścią zmyślone; wreszcie że niewszystko jest w jego mocy odwrócić, gdy nawet książęta niemieccy, w nierównie pomysłniejszych od niego znajdujący się warunkach, całą swą powagą i potęgą nie mogą położyć tamy wznieconemu przez Lutra pożarowi. Lecz w Rzymie upadła już była całkiem sprawa mistrza i zakonu, jako jawnie sprzyjających nowej wierze, a zato stanęły tém mocniej interesa Polski, jako narodu okazującego niezłomne przywiązanie do wiary przodków. Później nieco nawet papież, na uczczenie Zygmunta, przysłał mu kapelusze perłami naszywany i miecz uroczyste poświęcony.

Mistrz ze swjej strony długo lecz daremnie w Budzynie, stolicy króla węgierskiego, układał się o sąd polubowny, po którym wreszcie nie mógł się już spodziewać pomysłnego skutku. Obok tego brat jego Jerzy i szwagier Fryderyk książę lignicki, prowadzili przez poselstwa układy z królem Zygmuntem, a gdy mistrz z powrotem z Budzyny przybył do Szlązka, pozostawili go w Bytomiu, sami zaś udali się do Krakowa, gdzie także jako reprezentanci kraju zakonnego przybyli Jerzy Polenz biskup pomerański, rycerze i mieszczanie. Po długich wreszcie naradach, sporach, poselstwach i udawaniu się obu książęcych pośredników do Bytomia, zaproszony Albrecht przez króla, wjechał do Krakowa jako mistrz krzyżacki, z czarnym orłem na płaszczu i krzyżem na piersiach. D. 8 kwietnia 1525 r. podpisano traktat tej treści: Ustają wszelkie spory Prus zakonnych z Polską, Mazowszem i Warmią. Strony oddają sobie nawzajem zamki i miasta pobrane, przebaczą swym poddanym podczas wojny o zdradę obwinionym, a ich dzieciom wracają pozajmowane nieruchomości. Albrecht, jako książę Prus dziedziczny, złoży królowi przysięgę i będzie wierny, jak na lennika przystoi. Obecny margraf Jerzy, w imieniu swoim i młodszych swych braci Kazimirza i Jana, jako mogących po Albrechcie uzyskać prawo do księstwa pruskiego, dotknęli się także podczas składania hołdu chorągwi lenniczej. Po wygaśnięciu męzkiego potomstwa Albrechta i jego braci, księstwo pruskie przypadnie jako prowincja bezpośrednia do Polski, rządzona przez jednego ze swych obywa-

(1) Erlentertes Preussen, t. I XIV. List Marcina Lutra do Briesmana.

teli umiającego po niemiecku. Król zapewnia Prusom książęcy wszelkie ich prawa i opiekę przeciw każdej przemocy, książęta zaś pruscy nie będą mogli żadnej części kraju odprzedać, bez zapytania się króla i oczekiwania przez lat dwa, złożyli on kupić nie zechce. Zastawiać zamki i dobra będzie mógł książę tylko swoim poddanym. Po upływie pierwszych sześciu lat, (jeżeliby król z powodu tego traktatu zagrożonym nie był), książę obowiązany będzie na każdą wojnę polską stawić się ze stu uzbrojonymi jeźdźcami. Zrzekł się nadto Albrecht wszelkich praw i przywilejów nadanych Krzyżakom przez papieży, cesarzów, królów polskich i wszelkie dokumenta tego rodzaju winien był wydać królowi. Jako wynagrodzenie pieniężne za miasta warmińskie, które Albrecht w wojnie pozdobywał, Zygmunt obowiązał się płacić mu corocznie aż do śmierci po cztery tysiące złotych reńskich, czego jednakże do traktatu pokoju nie wpisano, lecz przez inny dokument zabezpieczono.

Nazajutrz obecni w Krakowie deputowani stanów pruskich, uznali traktat ten za obowiązujący, a księcia Albrechta za swego dziedzicznego pana; trzeciego zaś dnia odbyła się uroczystość składania hołdu.

Obok ratusza na rynku krakowskim, wystawiono tron wysoki, okryty przerabianymi w złoto makatami. Na nim zasiadł król Zygmunt, w koronie i płaszczu złotym obszytym perłami, a otaczali go biskupi, panowie świeccy, posłowie króla węgierskiego, dalej rycerze, szlachta i rajcy miast Torunia i Elbląga. Czteroletniego Zygmunta Augusta trzymał na ręku Jarosław Łaski wojewoda sieradzki, inni zaś panowie stali przed tronem, trzymając berło, jabłko i miecz. Wojska pieszego otaczało króla do dwóch tysięcy w zbrojach, z rusznicami, dzidami i berdyszami.

Skoro tylko Zygmunt zasiadł na tronie, biskup pomeraniański Erhard Queis z siedmiu radcami, przykleknawszy, prosili o pozwolenie złożenia hołdu. Od tronu odpowiedział podkanclerzy i biskup krakowski Piotr Tomicki; poczem zaraz ukazał się książę Albrecht, w towarzystwie margrafa Jerzego i Fryderyka lignickiego, otoczony radcami i deputowanymi pruskimi. Zbliżywszy się do króla, wyraził mu najpierw podziękowanie za doznaną łaskę i przyrzekł wierność, a gdy wszyscy trzej przyklekli, kazał sobie król podać chorągiew z białego adamaszku, na której był czarny orzeł ze złotymi szponami i taką koroną w koło szyi, ze złotymi przegami na skrzydłach, a srebrną literą S. (Sigismundus) na piersiach. Wtedy Albrecht na ewangelię leżącą na łonie królewskim złożył przysięgę: iż od tej chwili na wieczne czasy chce być wiernym, podległym, lennym i posłusznym, wraz ze wszystkimi swymi poddanymi duchownymi i świeckimi, najjaśniejszemu i najpotężniejszemu monarsze i panu Zygmuntovi królowi polskiemu, jego następcem i Koronie polskiej i t. d. Poczem mistrz podniósł się, a przykleknawszy nanowo i schyliwszy się ku ziemi, uderzony został mieczem przez króla, który mu także zawiesił na szyi wielki złoty łańcuch. Następnie pasował innych jeszcze rycerzy. Albrecht tymczasem, pożegnawszy się z królem, wraz z orszakiem swoim przez wielu panów polskich do gospody odprowadzony został. Uroczystość cała zakończyła się nabożeństwem i sutym obiadem, po którym Zygmunt posłał Albrechtowi rozmaite dary.

Z Krakowa zaraz doniósł Albrecht książętom rzeszy niemieckiej, iż opuszczony od cesarza, musiał uleść okolicznościom i że jako książę Prus został lennikiem Polski. Poczem udawszy się do Brzegu, kazał sobie tam porobić oznaki swęj nowej godności, osobliwie zaś złoty łańcuch do orla na piersiach nosić się mającego. Nakoniec wybrał się jako świecki książę do Prus, które przed trzema laty jako mistrz zakon opuścił, i d. 9 maja 1525 r. wjechał uroczystie do Królewca.

Taki był koniec w Prusach zakonu Krzyżaków, który zamiast Polskę zasłaniać i bronić od niewiernych, raczej przez trzysta lat prawie dręczył ją ogniem i mieczem.

Odtąd Albrecht nie tylko zamienił habit zakonny i tytuł wielkiego mistrza, na godność i płaszcz książęcy, ale także publicznie przyjął wyznanie Lutry, nazwał się księciem ewangelicznym i połączył się słubem małżeńskim z Dorotą księżniczką duńską. Tymczasem zakon krzyżacki w Niemczech r. 1526 obrął sobie w Mergentheim nowego wielkiego mistrza w osobie Waltera de Kronenberg, a cesarz Karol V, nie chcąc odstąpić od roszczeń poprzedników swoich, że zakonnicy krzyżacy, jako rycerze narodu niemieckiego, powinni wraz z krajem swoim uznawać jego władzę, nie tylko na jeździe w Augsburgu nadał temu nowemu mistrzowi wszystkie prawa i kraje dotąd przez zakon posiadane, a więc i Prusy, nie tylko po-

czytał wykonanie hołdu i zamianę urzędu wielkiego mistrza na godność dziedzicznego księcia za nieprawny i bezbożny postępek tak ze strony króla jak i Albrechta, ale nawet oświadczył, że zarówno Prusy książęce jak i królewskie nie za prowincje polskie, lecz jako należące do Niemiec uważa. Nowy mistrz zaczął się pisać administratorem Prus i pozwał przed cesarski Kammergericht księcia Albrechta, jako odszczepieńca od kościoła, przywłaszczyciela krajów zakonnych i wiarołomnego lennika niemieckiego, który się poddał pod władzę Polski (r. 1530).

Cesarz kazał wręczyć Albrechtowi ten zapowiedź, z żądaniem żeby w przeciągu ośmiu tygodni usprawiedliwił się z zarzutów na rokach sądowych, a jeżeli po tym czasie do dnia dziewięćdziesiątego nie stanie, wtedy ulegnie bannicy. Albrecht przesłał ten pozew na sejm piotrkowski i otrzymał zakaz, ażeby pod utratą lenna nie uznawał żadnych cudzoziemskich sądów.

Jan Dantyszek, uczony biskup chełmiński i poseł u Karola V, pracował długo w Augsburgu i Brukselli, aby tę burzę od Albrechta odwrócić; pomimo jednakże tego bannicy została wyrzeczona, a złożona następnie przez Dantyszka w Regensburgu protestacya Albrechta, skutku żadnego nie odniosła. Tyle tylko Zygmunt dokonał, iż cesarz wykonanie wyroku do dwóch lat odłożył przyrzekł. Ale już po roku zaczęły przychodzić do Królewca pogrozki, że jeżeli książę zaraz nie odda dobrowolnie kraju nowemu wielkiemu mistrzowi, to siłą do tego zmuszonym będzie. Król więc znowu przysłał listy do cesarza, jego namiestnika w Niemczech króla Ferdynanda, wreszcie do kurfirstów, prezydentów kammergerichtu i wolnych miast, i na zabiegach tego rodzaju kilka lat upłynęło. Skoro zaś nieco bardziej uzasadnione rozbiegły się wieści, że zakon myśli o wyładowaniu w Gdańsku, nie tylko niesłychanie to oburzyło Prusaków, ale natychmiast silniej z Polską się złączyli. Sympatya ta może zjadł głównie urosła, że Prusy przejęły się w znacznej części nowościami religijnymi, a tych rząd polski wprawdzie nie popierał, ale im też głównią ani mieczem nie zagrażał. W tej sprawie na zjeździe rzeszy w Augsburgu r. 1547 poseł Stanisław Łaski wojewoda sieradzki w imieniu króla oświadczył między innymi: iż Prusy od wprowadzenia tam religii chrześcijańskiej do Polski należały i z rzeszą niemiecką nie miały nic wspólnego, chyba to co wiecej mistrze samowładnie i nieprawnie tam wprowadzili; że już to nawet cesarz Maksymilian uznał i dlatego króla zapewnił, iż zakonowi nigdy odtąd pomocy nie udzieli. Kto wreszcie ma jaką sprawę z Albrechtem, jego wazalem i siostrzeńcem, ten zarazem ma do czynienia z nim, to jest z królem polskim. Wiele wreszcie i to sprzyjało Albrechtowi, iż Prusy dość odległe leżały od państwa niemieckiego, a cesarz inne miał zatrudnienie i dlatego Albrecht o wyroki jego mało się troszczył i siedział sobie spokojnie w Królewcu.

Nie będziemy opowiadać dalszych jego rządów, jako dla Polski więcej obojętnych, a w ważniejsze wypadki dziejowe ubogich. Dość gdy powiemy iż zaprowadził w swym kraju wiele pożytecznych urzędów, utworzył siłę morską i lądową. R. 1544 założył w Królewcu gimnazyum, a r. 1544 uniwersytet i znakomitą bibliotekę. Zygmunt August r. 1560 d. 8 marca przywileje tej akademii zatwierdził i porównał ją z akademią krakowską. Jemu też kraj zawdzięcza założenie warzelnii soli i wielu zakładów fabrycznych. Umarł w Tapiau d. 20 marca 1568 r., w 78 roku życia, a panowania jako książę 43.

Jakkolwiek widzieliśmy iż zacięte z Polską prowadził wojny, jednakże w literaturze naszej zjednał sobie znakomite zasługi. Znał język nasz jak rodowity Polak i wiele się przyłożył do jego wydoskonalenia i zbogacenia. Umiierając nawet rozporządził, aby syn jego Albert Fryderyk zarówno w polskim, niemieckim i łacińskim języku się kształcił. Do Królewca sprowadził wielu uczonych Polaków, jako to: Seklucjana Trepkę, Kwiatkowskiego, Radomskiego, Strubicza i innych, którzy z jego zachęty od r. 1545 wiele dzieł w polskim języku wydali. Przybywających do Królewca Polaków przyjmował uprzejmie, uczonych zaś narodu naszego wspierał i na druki dzieł polskich łożył. Sam napisał w niemieckim języku godne uwagi dzieło pod tytułem: Von der Kriegerordnung oder der Kunst Krieg zu führen, które w d. 10 sierpnia 1555 r. królowi Zygmuntovi Augustowi dedykował. Dzieło to nie było drukowane. Nader ozdobnie pisanie i wielu rysowanymi figurami upiękzone, znajduje się obecnie w królewskiej bibliotece berlińskiej. Maciej Strubicz Polak, bawiący na dworze Albrechta w Królewcu, z jego polecenia przełożył to dzieło na język polski. Tłumaczenie to, wielki foliast obejmujące,

przesłane zostało przez księcia Albrechta królowi Zygmuntovi Augustowi. Egzemplarz oryginalny jego bardzo pięknie pisany i wielą rysowanymi figurami ozdobiony, posiadał w XVII wieku Jan Karol Chodkiewicz hetman w. lit. Od niego dostał się do Sobieskich, a od królewicza Jakuba Sobieskiego do Jędrzeja Stanisława Żaluskiego, który go umieścił w bibliotece przez siebie i brata swego w Warszawie założonej. Znajdowały się tu na początku dwie obszerne dedykacje w polskim języku do króla Zygmunta Augusta; pierwsza z d. 10 sierpnia 1565 r., w której Albrecht mianuje się księciem poddanym jego królewskiej mości, druga z d. 4 sierpnia 1574 r., pod którą podpisany jest jako tłumacz Maciej Strubicz. Obie te dedykacje w całej rozciągłości zamieścił Wiszniewski w swęj historii literatury polskiej, tom IX, str. Szacowne to dzieło Albrechta, tłumaczone przez Strubicza, znajduje się teraz w Petersburgu. (1) Janocki bibliotekarz księgozbioru Żaluskich mówi: (2) iż król Stanisław August wkrótce po przejściu tego dzieła do biblioteki, listem własnoręcznym pisanym do niego, pragnął aby było przeniesione do zamku jego królewskiego. Będąc zaś szczególniejsz chciwy oglądania starożytnych pomników przodków, ucieszył się nadzwyczajnie temu dziełu i Naruszewicza, którego ze wszystkich najbardziej kochał i miłował, najusilniej prosił, aby dzieło tak sławne i celujące, własnymi rękami do świątyni rzplętej, to jest do publicznej biblioteki Żaluskich, odniósł.

Po wielu dopiero latach znajdujemy w spisach księgarskich, iż dzieło to wyszło na widok publiczny w Berlinie po polsku i po łacinie u B. Behra i Z. Schlettera, pod napisem: Albertus (marchionis brandenburgensis dux Prussiae), libri de arte militari, mandato serenissimi regis Poloniae Sigismundi Augusti scripti. Nunc primum e codice authentico principis palatini Adami Czartoryski, cura et sumptibus bibliothecae polonicae editi, z ozdobnemi chromolitografowanemi tytułami i pięknym stalorytem Zygmunta Augusta, in folio r. 1858.

Jerzy Sebastian Lubomirski,

MARSZAŁEK WIELKI KOR. HETMAN POLNY.

(Dalszy ciąg.)

Właśnie z nowym rokiem 1651 rozpoczynały się najwyżej przygotowania wojenne do boju z kozactwem, kiedy Jan Kazmirz zwyczajem staropolskim ustanowił nową kommissyą, ku zbadaniu sprawy o Kunegundę. Składali ją: podskarbi kor. Bogusław Leszczyński, marszałek nadworny Opaliński, Franciszek Dembiński podkomorzy krakowski i Jakub Michałowski wojski lubelski. Przydany im jako prawnik Daniel Żydkiwicz, instygator kor., wywiczony rzecznik po trybunałach. Kanclerz Radziwiłł, broniąc szwagra, daje do zrozumienia w Pamiętnikach, że ta kommissyą była nieprawna, bo król na elekcyi przyobiecał nie nowego nie wszczynać i tylko na sejmie ustanowione kommissyie dalej prowadzić. Ale kanclerz nie ma tutaj głosu. W sporze o intratę z dworem, zawsze i wszędzie, jak to widać z tychże jego Pamiętników, bronił prywaty. Co to było narzekania i utyskiwania z tego powodu, że królowa chciała mu odebrać dzierżawę swojej Tucholi; ile skarg, że król o 9,000 złp. podwyższył mu dzierżawę ekonomii hotryńskiej! A tutaj jeszcze szwagier miał sprawę. Zresztą żadne zaręczenia królewskie nie niszczyły prawa wyraźnego jak słońce, że zupy solne, gdziekolwiek bądź się pokażą w kraju, stanowią mają dochód królewski.

I Jan Kazmirz się ociągał, i kommissarze od niego umocowani. Król namyślał się czy sprawę ma podnieść, kommissarze czy sądu się podjąć. Tak już wtedy niebezpieczna rzecz u nas była bronić sprawiedliwości przeciwko dumie. Wreszcie w lutym 1651 roku stanęła kommissyą prywatna, nie na sejmie. Marszałek Opaliński nie chciał z tego powodu do niej należeć, ale potem się namyślił i przyjął miejsce, z obawy ażeby króla nie obrazić.

Kommissarze, jak po staropolsku się mówi, zafundowali swoje jurydykcyje, zjechawszy na miejsce, ale, że kruk krukowi oka nie wykole, obaczywszy wyrok kanclerza Ossolińskiego, chcieli przyznać prawo do Kunegundy Lubomirskiemu. Jednakże marszałek wielki kor. przeciw ich charakterowi urzędowemu protestował. Wszczęła się o to gwałtowna sprzeczka pomiędzy marszałkiem a instygatorem. Żydkiwicz, szlachcic bez przodków, chciał dokuczyć wielkiemu

(1) Bentkowski Historia literatury polskiej t. II str. 356.

(2) Janociana t. II str. 4.

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 62.—Wiek XVI. Ziemianie w ubiorach zwyczajnych. Czapki wysokie futrem wyłożone; u żupanów długich podpinanych wysokie kołnierze stojące lub wyłożone, albo kaptur; na nogach buty lub z cudzoziemską trzewiki; w ręku wysokie miecze teutońskie, oprócz zwyczajnych przy boku. (Rysunek wzięty ze współczesnych drzeworytów w Zwierciadle Reja).

panu przez pychę chudopacholską, a liczył także na względy królewskie. Ostro wymówił, że skarb rzpltej i ekonomia królewska wielką ma od marszałka ujmę i krzywdę. Lubomirskiego to wystąpienie wcale niespodziewane zdziwiło, oburzyło. Jakto? panowie z panów, Leszczyński, Opaliński, nie śmieli głosu przeciw niemu podnieść, a gardłował jakiś tam Żydkiwicz? I tu na jaw wyszła owa sławiona równość szlachecka w Polsce; pokazało się co znać, bo wytrysnęła gniewem z głowy Lubomirskiego. Tutaj znowu dwie mamy relacje. Podług jednej, marszałek srodze rozgniewany rzekł:

— „Czy jeden ty panie Żydkiwicz tylko jesteś synem tej matki rzpltej, a my czem jesteśmy u ciebie?”

Inni mówią że marszałek zawołał:

— „Dawniejszą my szlachtą niż waszmość.”

Bądź jak bądź, przytyk był widoczny; to też instygator, na prawie się opierając i pisanem i zwyczajowem, odparł z pychą chudopacholską Lubomirskiemu:

— „Taki ja dobry szlachcic, jak i waszmość.

Krew zbiegła do głowy magnatowi, i uderzył Żydkiwicza w twarz czy w głowę trzcina czy laską. Zerwała się marszałkowska służba i wyrzuciła dygnitarza koronnego za drzwi. Byłaby nawet pewnie go rozsiekala, jak kanclerz Radziwiłł powiada, gdyby na to marszałek pozwolił.

Stało się zgorzenie wielkie: instygator przedstawiał osobę królewską i był ukarany okropnym zelżeniem za gorliwość, którą okazał ku królowi, ku prawu. Bez jego skargi, łatwo to przypuścić, że Jan Kaźmirz ciężko się rozgniewał; kommissarze także boleśnie to uczyli, że marszałek tak złamał powagę ich urzędowania. Nieprzyjacielem Lubomirskich oczywiście głosno sarkali. Nie pierwszy to raz, mówili, depcze zuchwale marszałek prawa wolności, poprzednio już obraził śmiertelnie Filipa Hutyna, pisarza dekretowego, i dał mu postronkami. Król rozpisał listy do senatorów, jakby zwołując ich na krzyżową wojnę przeciw marszałkowi. Pisał i do kanclerza Radziwiłła, który jednak skargę królewską osądził za przesadzoną. Porównywał król zuchwalstwo marszałka z kryminalem Piekarskiego. Kazał zaraz wydać dwa pozwy, jeden na objęcie żup, drugim na sejm wołał Lubomirskiego w sprawie kryminalnej. Zbrodnia obrażonego majestatu mogła co najmniej być skarana odjęciem Lubomirskiemu laski marszałkowskiej i starostw.

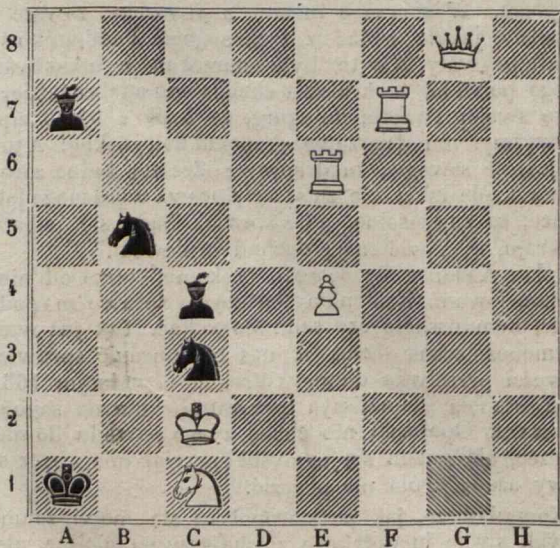
SZACHY.

ZADANIE CLXX.

Z. K. w Warszawie.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 169.

Białe.

Czarne.

1) B 4—A 1 + 1) A 3—B 4.

2) H 4—E 4 biorą 2) Jeżeli czarne zrobią posunięcie laufrem A 4, to królowa daje mata na B 7 lub B 4; jeżeli laufrem H 4, to także mata królowa, bijąc jednego z koni; nareszcie jeżeli czarne którego z koni poruszają, to koń F 4 matuje na D 5 lub D 3.

Zląk się dumny magnat. Przysłał do Radziwiłła, uskarżając się na gniew królewski. Kanclerz chciał pośredniczyć pomiędzy szwagrem a dworem. Ale nie tylko że nic nie wskórał, lecz jeszcze król zakazał marszałkowi, ażeby nigdzie mu się na oczy nie pokazywał, ani w stolicy, ani w obozie, do którego się Jan Kaźmirz wybierał.

Marszałek uciekł się pod opiekę Maryi Ludwiki, która sercem królewskim rządziła. Dał się pocziwy pan udobruchać. Ze względu na rozpoczętą już wojnę i potrzebną jedność sił wszystkich, pozwolił się przeprosić. Marszałek musiał ustąpić żupy i za pierwszą sposobnością miał oddać laskę królowi; zdaje się że chciał go Jan Kaźmirz, oddalwszy od tronu, posadzić na jakim krześle wojewódzkim. „O czem usłyszawszy moja żona, z boleści mało nie umarła,” pisze kanclerz Radziwiłł. Była to przecież zacna, świętobliwa niewiasta; cóż kiedy najzaciejsi wtenczas wszystko na świecie mierzyli pychą?

W Lublinie odbyła się bolesna dla marszałka scena przeprosin. Ceremoniał ze wszystkimi drobiazgamami ułożono. Król z królową jechał pod Konstantynów, dokąd gromadził pospolite ruszenie szlachty. Przybył tam pokryjomu i Lubomirski. Poszedł do kolegiaty król na nabożeństwo, po którym odebrał list z błogostawieństwem od prymasa na wojnę i z prośbą również, żeby Lubomirskiemu urażę darował. Prymas obiecywał królowi, że Lubomirski nagrodzi to męstwem przeciw nieprzyjacielowi, co złego zrobił. Wtedy kanclerz ksiądz Leszczyński, biskup chełmiński i drudzy senatorowie jednomyślnie króla błagać poczęli; wszedł i Lubomirski, padł do nóg pańskich, złożył laskę z pokorą i zebrał przebaczenia. Jan Kaźmirz jeszcze się gniewał i nie dawał się przeprosić, aż królowa rzekła:

— „Takich ludzi na wojnę zbierać, klemencyą zachęcać należy, nie odstręczać zawziętością.”

Królowa podwoiła zabiegów, prosiła, radziła. Jan Kaźmirz marszałkowi kazał przeprosić i wynagrodzić Żydkiwicza. Dopiero wtenczas podniósł Lubomirski laskę swoją z ziemi, ale połknawszy upokorzenie, przecierpiawszy boleść, natrząsał się jeszcze przez dumę. W głos przy królu rzekł do instygatora z groźbą:

— „I waszmości, panie Żydkiwiczu, będę to umiał w podających się nagrodzić okazyach.”

„Co raczej na śmiech i ekwiwokacją, niżeli na przeprosiny poszło,” dodaje jakiś szlachcic, stronnik Lubomirskiego, świadek sceny w Lublinie. Marszałek udaną swoją pokorą wywiódł w pole króla, bo niczego się nie nauczył, nawet upokorzeniem. Dobrze więc być nie mogło pomiędzy nim a dworem, kwa-

sy zostały. A że sprawa taka wszystkich panów zarówno bolała, mamy dowód na Radziwiłła, który, chociaż zwykle drobiazgowy, ani słówkiem jednym nie odmalował sceny w Lublinie.

Żydkiwicz był człowiekiem tak bez godności, że wziął za obelgę „znaczną sumę” od Lubomirskiego. (Cała ta sprawa opisana według Radziwiłła w t. I str. 433—436, Pamiętniki do panowania Zyg. III str. 160—7. Szajnocha, Krzysztof Opaliński w Gazecie Polskiej 1861 nr 265.)

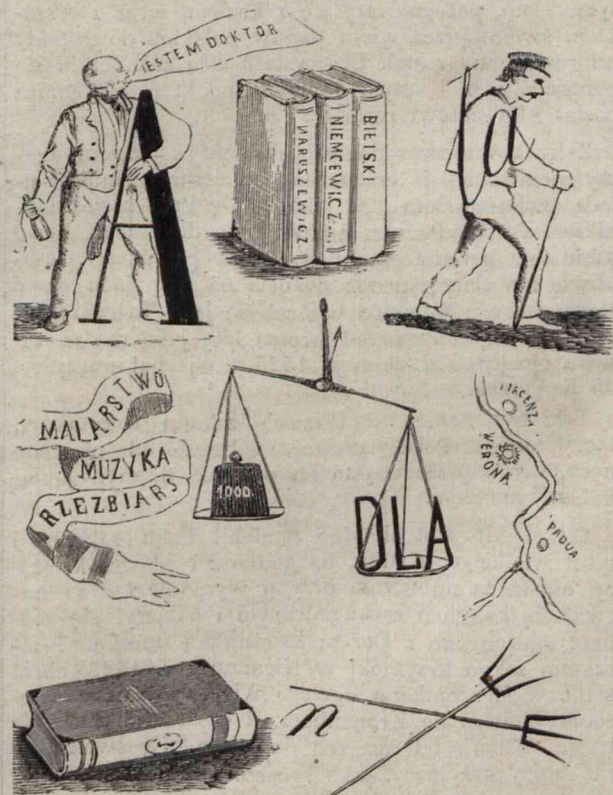
Wszyscy trzej bracia Lubomirscy poszli za królem na wyprawę berestecką. Przedstawiali królowi w obozie pod Sokalem swoich osmnaście chorągwi (26 maja, Radziwiłł t. II str. 438). Zewsząd się ściągali województwa. Dowiedział się król od jeńców, że kozactwo obległo Ołykę. Wielu radziło iść na odsiecz temu miastu, a między nimi był i marszałek kor., który chciał ratować stolicę kanclerza Radziwiłła; ale hetman Potocki nie pozwolił na to (w czerwcu tamże str. 444). Z pod Beresteczka król odprawił pod Kraków Michała Zebrzydowskiego, Aleksandra i Krzysztofa Lubomirskich ze 2000 ludzi naprzeciw Napierskiemu. (Pamięt. do panow. Zyg. III, tamże t. II str. 174). Jeden marszałek został się pod Beresteczkiem.

Trzy dni trwał bój, jeden z największych w naszej historii. Dnia 28go czerwca pokazali się na górach Tatarzy. Gdy nasi wyjeżdżali na harce, kazał król Aleksandrowi Koniecpolskiemu, chorążemu kor., który o to prosił, rozpocząć pierwszy bój; przy nim Lubomirski marszałek, brat cioteczny, ruszył się i obadwaj uderzyli z 2000 zastępem na Tatarów. Odparty nieprzyjaciel miłą uciekał. Nazajutrz ogromne chmary kozactwa i Tatarów pokazały się na górach. Król na pierwsze natarcie wysłał przeciw nim pułki marszałka Lubomirskiego, hetmana wiel. kor. i podkanclerzego Sapiehy. Odparto i te chmary nieprzyjaciela. Ale prawdziwa bitwa miała się dopiero trzeciego dnia rozstrzygnąć, to jest 30 czerwca. Stał wtedy marszałek z pułkiem swym na prawem skrzydle,

pod wodzą hetmana Potockiego. Długo to wojsko było nieczynne, bo srodek i lewe skrzydło wiodły bój, i wreszcie sprawiły zamieszanie w szykach nieprzyjacielskich. Pierzchnęły ómy tatarskie, prawie nie zakosztowawszy boju, przerażone samym widokiem tak bezprzykładnie tłumno rozwijających się zastępów polskich. Za hanem uciekł i Chmielnicki. Jedną tylko skrzydło nieprzyjaciela niewzruszone stało. Znieść je, było to wygrać stanowczo bitwę.

Król posyła do uszykowanych na prawem skrzydle naszym chorągwi Lubomirskiego i Lanckorońskiego, wojewody braclawskiego, z rozkazem, ażeby ude-
(Ob. dod.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 206.

Morowa zaraza wielkie zniszczenie sprawiała niegdys na świecie.

(Dodatek.)

rzyli na szczątki owe kozactwa. Ale marszałek i wojewoda ociągają się. Król powtórny do nich posyła rozkaz. Wszystko zależało od tej ostatniej walki. Ale i tą razą marszałek wymówił się jakąś zasadzką w gaju i nie ruszył z miejsca. Król posyła raz trzeci i grozi gardłem nieposłusznym panom, a tu czas upływa.

— Wolimy stracić gardło, odpowiada na to marszałek, niż narazić ojczyznę, a z nią króla. Niech król jegomości nadeszle kilka działek, dla wyparcia zasadzki z lasu.

W oka mgnieniu przybył pułk cudzoziemski z dwoma działami, lecz nie znalazł żadnej zasadzki w lesie.

— „Ustąpiła za nadejściem armat“ odparł sucho Lubomirski, i jeszcze nie poruszył się z miejsca. Czas szczęśliwy już upłynął, potem paścił się deszcz rzęsiście i udaremnił wszelkie usiłowania walki. Kozacy zostali w obwarowanym taborze, a Polacy zlorzeczyli nieszczęsnej owę zasadzkę w lesie. „Było takich więcej, pisze pewien dyaryusz berestecki, którzy twierdzili, że tam żadnej nie było zasadzki, ale to tylko była niepotrzebna opinia, a raczej pretekst, dla uchronienia się tak wielkiego i niebezpiecznego w dobytaniu taboru kozackiego ognia, co i niektórzy z tych, którzy w témże byli skrzydle, przyznawali.“

W stanowczym więc dniu nie miał prawie Lubomirski udziału w bitwie pod Beresteczkiem. Z jego chorągwi zginęło ludzi tylko 20 towarzysztwa, między którymi Stanisław Księski, wielki jowialista. Ze strony samego marszałka była tu widocznie zła wiara, może odwet za upokorzenie, jakiego doznał w Lublinie. Świetne zwycięstwo beresteckie nie było, jak mogło być, najświetniejszym. Król nie miał piechoty do szturmowania obozu kozackiego, zawiązał układy i żądał poddania się na łaskę. Przystali na to Kozacy, ale upatrzywszy porę, wymknęli się z obozu i w dzikiej rozsypce pierzchnęli ku Ukrainie. Jeden cios mógł zakończyć wojnę, a tutaj zwłoka czasu zaprzęła zwyciężkie wojska w pochodzie i dała sposobność wzmożz się znowu na siłach Chmielnickiemu. Opór marszałka w boju, a potem swawola szlachty, która się po wielkich krzykach na króla rozeszła z pod Beresteczka, naraziły rzplę na nowe wysilenia i bitwy (Pam. do panowania Zyg. III t. II str. 474, 479. 483, Szajnocha tamże Gazeta Polska nr 266).

W czasie tej wyprawy, Lubomirski znowu miał zetknięcie się z Radziejewskim. Nikczemny podkanclerz siał ciągle plotki i drażnił. Towarzysząc królowi pod Beresteczko, pisywał tajemnie do Maryi Ludwiki i do tego doprowadził, że przestała królowa pisać do króla. Kiedy się powód tego milczenia wykrył, król posłał do Radziejewskiego kanclerza kor., marszałka i podkanclerzego Sapiechę, żeby mu na oczy nikczemność wyrzucili. Zapięrał się, ale pokazali mu list jego własny. Rozgniewany Radziejewski pomścił się na królu, bo poburzył szlachtę pod Beresteczkiem, że się rozeszła. Lubomirskiego jednak się bał, bo czuł w nim siłę jakąś, kiedy mu na sejmie pieczęć oddając, nikczemne zabiegi wyrzucał. W ciągu sprawy z Żydkiem Radziejewski trzymał stronę marszałka i naraził się mu nie chciał w niczym (Szajnocha tamże nr 267, Radziwiłł t. II str. 451).

Nastąpiła wyprawa żwanięcka. Król z wojskiem i z chorągwi panów szedł ze Lwowa ku Haliczowi, a oglądał się na Multany, bo Tymoszko Chmielnicki broniał się tam rozpaczliwie, obłożonym będąc w Soczawie. Lubomirski przybył na tę wyprawę najpóźniej ze wszystkich senatorów i przyprowadził z sobą 800 ludzi należycie uzbrojonych. Ale wszystkemu się nie podobało w sposobie prowadzenia wojny. Chciał królowi przyciąć i zemścić się znowu za upokorzenie lubelskie. Miał Jan Kaźmirz obok siebie radę wojenną i za jej wskazania postępował. We Lwowie jeszcze zachwylił języka, że chan Dniepr już przeszedł i że Chmielnicki szedł ku Barowi, a żeby się z nim połączyć. Zdanie wszystkich było, nie wkrać na Ukrainę, żeby nieprzyjaciel nie napadł w ciągu nieniu na wojsko nasze, które dla braku chorągwi łanowych, było jeszcze słabe. Dlatego stanął król pod Haliczem, w miejscu, z którego mógł i posiłkować wojsko siedmiogrodzkie pod Soczawą, i od niego w razie potrzeby znaleźć pomoc. Że jednak nie ustawały wiadomości i przestrogi o zbliżającym się ze wszelką potęgą nieprzyjaciela, pomknął się król pod Kamieniec, aby miał bliżej sprzymierzeńców pod Soczawą, i gdy kilka razy chciał iść ztąd na Ukrainę pod Braclaw, zatrzymywały go wiadomości o nadchodzącym nieprzyjacielu. Posłał więc Houwalda z 600 dragonii konnej, dla dzielniejszego szturmowania Soczawy.

W kilka dni po przybyciu marszałka do obozu, król złożył nową radę wojenną, w pobliżu Żwańca (w jesieni 1653 r.). Wszystkie głosy były za tém, żeby zostać pod Kamieniem; Lubomirski również popierał to zdanie, ale cierpko się wysławiał. Wielomówny,

rozwiódł się szeroko nad sposobem prowadzenia wojny, według niego, złym i bez celu. Ze zaś król słuchał zdania swoich radców, a sam postępował jak mu się to zdawało najpożyteczniejsze dla rzplę, bo miał do tego prawo i władzę nad hetmany, Lubomirski głównie cenzurował króla.

— „Nie byłem na tej radzie, rzekł mniej więcej w tych słowach, na której mówiono żeby do Soczawy ślać część wojska, lub żebyś w. k. mość szedł pod Kamieniec, bobym ostrzeżał, że kraj ogłodziwszy, zaskodzimy i Kamienicowi. Ale dziś, kiedy wojsko nasze odważnie staje pod Soczawą, i sprzymierzeńcy wsparcia od w. k. mości żądają, porzuciwszy część wojska i sprzymierzeńców, iść na Ukrainę w jesieni, przy takich słotach, pomiędzy przepawy i błota, nie zda mi się. Od obłożenia Soczawy odwiać wojsko także niepodobna, bo obudziłoby to nieufność w sprzymierzeńcach w. k. mości. Lepiej zaczekać, co za skutek będzie obłożenia tego; a nuż da Pan Bóg dobyć, to już z tej strony zwycięstwo otrzymamy, wojsko zgomadziwszy, będziemy nieprzyjaciela straszniejsi, aniżeli rozróżniwszy się z wojskiem, na Ukrainie w jawne niebezpieczeństwo wpaść; bo nieprzyjaciel nie stoczy bitwy, umknie się między fortece, a Tatarowie tył wezmą. Ni fortec dobywać, ni do domu powracać, sposobu mieć nie będziem.“ (Pamiętniki do panów. Zyg. III t. II str. 228).

Zdawało się królowi, że Lubomirski, jako minister pokoju, nie ma prawa mówić o wojennych rzeczach, niewiele ich rozumiejąc. Dotąd odznaczył się tylko pod Pilawcami i Beresteczkiem. Nie dawały mu rzeczywistość takie tryumfy prawa do krytykowania wojny; niesłusznie potępiał wszystko, co uczynili inni pilniejsi, którzy z królem od początku szli na wyprawę. Miało to niby znaczyć: „nie wszyscy nie umiecie, co chwila robicie błędy; ja lepiej umiem i nauczę was.“ Zresztą te przechwałki marszałka były bez celu, bo przeszłość nie wróciła. Nie złość także się nie zrobiło. Senatorowie w obozie radzili według wiadomości jakie były o nadszyciu nieprzyjaciela, a „żaden konsyliarz na świecie, mówił kanclerz Koryciński, nie może wiedzieć co ma być pewnie, według tego co może natenczas rozumem albo wiadomością zasiądz.“ Pokazało się że względem dalszego prowadzenia wojny nie więcej poradzić nie umiał Lubomirski nad to, co inni radzili. Nie chciał wkrać na Ukrainę, bo wieści były że nadszyciu nieprzyjaciel, a tymczasem nimby nadszedł, możeby wojsko mogło dociągnąć do Braclawia. Tak samo wolno idąc, wśród postrachów tylko, wojsko do Kamieńca doszło. Lubomirski zgrzeszył w istocie zarozumiałością, chętką ganienia, a kiedy sam w działaniu widział sprawę jak inni, pocóż cierpkim słowem rozdrażniał wszystkich, i króla i pułkowników i senatorów?

Król nie mógł utaić, jak mówi Kochowski, nieukontentowania swojego ze słów marszałka. Rzecz dziwna, że w każdej sprawie z Lubomirskim król zawsze pokazywał umiarkowanie. Wysłuchawszy mów senatorskich; odpowiedział według zwyczaju, tylko o Lubomirskim zamlecał: „Na jedno z wyrzeczonych tu zdań, mówię, nie odpowiem, gdyż jest zarozumiałe (votum praesumptuosum).“ Rzuć ognia na marszałka. Król w ogóle do wszystkich mówił, nikt przecież słów jego do siebie nie wziął, tylko marszałek; widoczne było, że znał to do się że wykroczył. Co król mógł znieść od marszałka, tego marszałkowi nie godziło się znieść od króla. Zmlecał na posiadzeniu, ale wyszedłszy z niego, natychmiast wybuchnął listowną groźbą odwołania się do narodu, w piśmie do kanclerza Korycińskiego, datowanym w obozie pod Żwańcem. Kto by uwierzył, co jedno słówko królewskie w sobie zawierało? Rozebrał je i wytłumaczył nam to marszałek Lubomirski:

„Król znieważa głos senatorski.... Zginęliśmy już... Od wyrazów pójdzie do razów...“ i t. d. „Już to nie pierwszy przykład na mnie, ciebie także spotkała hańba... Senat widział jaki mnie wczoraj spotkał afront, jaki słów gestych impet. W obec rzplę skargę poniosę, będziesz mi świadkiem, żeśmy zgębieni“ i t. d.

Koryciński, świąty i umiarkowany, odpowiedział marszałkowi także listem. Bronił sposobu dotychczasowego prowadzenia wojny, zastosowanego do okoliczności. „Starożytny szlachcic i urzędnik koronny“ ująłby się również kanclerz za pohabienie wolnego głosu senatorskiego, ależ sprawa w niczym nie dotyczyła ani wolności, ani rzplę. Niepotrzebnie marszałek wmawia w niego, że połknął wstyd od króla, niepotrzebnie się lituje nad nim, bo to wszystko nie prawda. „Bo jeżeli król jegomość, pan mój, pokrywa baczeniem swoim moje defekty, daleko ja więcej powinieniem j. k. mości wyrozumieć affektem, których nigdy z łaski Bożej tak niedoznałem, abym się miał o to skarżyć.“

Smutne beresteckie i żwanięckie zajścia poszły po-

tém w zapomnienie. Zdaje się, że Lubomirski troszkę spuścił z dumy i że odzyskał łaskę obojga królestwa.

Tak się doczekał wojny szwedzkiej. Nie zdaje się żeby marszałek był wielkim stroniakiem zdruzgotanej w królu godności narodowej; przyjął albowiem obojętnie i najazd szwedzki, i wygnanie Jana Kaźmirza na Szląsk. Może się butnie jakoś trzymał przeciw królowi szwedzkiemu, myśląc że szabla uchylać się będzie przed dumą. Lecz była to rola biędnego króla polskiego, że z pany musiał się liczyć, dumny najezdca inny miał rachunek. Dlatego marszałek, zmiarkowawszy co się święci, życzył sobie pogodzenia się z królem szwedzkim, ale Karol Gustaw pogardził nim. Obrażona дума zwróciła się ku Janowi Kaźmirzowi. Począł w cichości na Węgrach zaciągać wojsko przeciwko Szwedom. Napisał list do Maryi Ludwiki, ale tak w nim wyrażał się ciemno, że sekretarz Królowej De Noyers nie dostrzegł w nim „związku wielkiego“ (Portofolio M. Ludwiki t. I str. 204—215). Były to może przeprosiny, może zaprosiny do Polski, ale wstyd i pycha nie pozwoliły Lubomirskiemu tłumaczyć się jasno.

Szwedzi stali w Wiśniczu, mieście Lubomirskiego, na zamku. Król wysłał Wojniłowicza w 3,000 ludzi, aby ich ztamtąd wypędził. Ale załoga była mocna, więc zwrócił się Wojniłowicz ku Bochni, gdzie wyciął Szwedów, którzy pilnowali żup solnych. Dalej ścigał cokolwiek piechoty z okolicy, i wzięwszy języka wrócił pod Wiśnicz. Przestraszeni Szwedzi, nie widząc posiłków z Kijowa, zapalili piękny pałac i obrócili go w perzynę; gdy opuścili zamek, Wojniłowicz rozbił ich w pogoni. Obawiano się o klastor ks. karmelitów, stojący śród murów, czy ocalał; był to jeden z najpiękniejszych kościołów nietylko w Polsce, ale i w Europie, fundacyi ojca marszałka, wojewody krakowskiego (Lettres str. 69, portofolio I str. 245—8).

Hetmanów koronnych i króla Lubomirski sprosił do siebie do Łańcuta. Tam nastąpiło pojednanie (21 stycznia 1656), poczem marszałek wszystkich wspólnie częstował (Lettres str. 78). Każdy wziął się do pracy. Marszałek ruszył ku granicy szląskiej, żeby Maryi Ludwice utworować przejście do Polski (str. 85). Ale gdy królowa jeszcze się wahała, powrócił i kręcił się na pograniczu węgierskim. Niewiele też miał ludzi, bo 3,000, i nie mógł się narażać na zgubę. Podobno dopiero zwycięstwo Czarnieckiego nad Sannem, odniesione 12 marca, ścigało Lubomirskiego więcej w środek kraju (ksiądz Krajewski, Żywot Czarnieckiego). Król polecił mu, żeby miał bacność na Szwedów, których chciano zamknąć pod Lwowem, w ziemi zupełnie opustoszonej. 22 marca marszałek, kasztelan wojnicki ksiądz Dymitr Wiśniowiecki i Jan Sobieski połączyli się o milę pod Łańcutą z Czarnieckim; szlachta wszędzie się do wodzów gwarnie tłumiła. Król szwedzki, dowiedziawszy się o tém, uciekł z Jarosławia, z wielką boleścią Czarnieckiego, który do Jana Kaźmirza pisał, że jak się tylko z Lubomirskim i z księciem Dymitrem połączy, nawidzą wszyscy wspólnymi siłami Jarosław, gdzie król szwedzki głód cierpi, nie śmiać posyłać po żywność. (Lettres str. 121—2.)

Główny ciężar wojny spoczywał na Czarnieckim. Marszałek z tyłu się zostawał, kasztelan kijowski na przedzie się uciekał z nieprzyjacielem pod Przemysłem i Jarosławiem. W skutku nowych zwycięstw, Aleksander Koniecpolski, który dotąd stał przy Szwedzie, połączył się z marszałkiem. Kiedy to wojsko, z 15 chorągwi złożone, z oddziałem Lubomirskiego i tłumem szlachty zbliżyło się do naszych kwarcianych, (29 marca), ci, biorąc braci za wrogów, wystąpili zrazu do boju, lecz później z wielką serdecznością ich przyjęli. Króla szwedzkiego trzymał się już tylko Niemirycz arianin (Lettres str. 140). Dnia 30 marca, Lubomirski ze swoim oddziałem, ze szlachtą i mnóstwem włościan przeszedł przez Wisłę pod Sandomierzem, na lewą stronę rzeki, po moście na łodziach, który natychmiast kazal zerwać i spalić. Tak król szwedzki był zamknięty w widłach Sanu i Wisły i otoczony zewsząd od naszych (Lettres str. 141). Sądziłi wodzowie, że król się rzuci na stronę Krakowa, nie przechodząc Wisły. Dlatego marszałek posłał do Tarnowa 4,000 piechoty i 6,000 jazdy, dla uderzenia na Kraków, w którym załoga szwedzka drżała z obawy nieszczęścia, rozbroiła mieszczan, rzeźniczków i piwowarczyków wyгнаła za rogatki. Mógł Lubomirski rozsyłać takie siły, bo sam stał na czele bardzo przeważnej potęgi. Oprócz wojska, zbierał szlachtę i włościan. Czy miał takie same myśli jak Jan Kaźmirz we Lwowie i chciał polepszyć dole ludu? Kto to powie dzisiaj? To pewna że Lubomirski pierwszy poruszał w Polsce ogromnymi siłami chłopstwa. Gdzieby to w Polsce zebrać było można przeważną siłę ochotników ze szlachty? Ale

marszałek udał się do ludu, który wyszedł pewnie z cierpliwości, patrząc codziennie na łupieżstwo i świętokradztwo po kościołach. Może ludowi co i obiecywano, dosyć że Lubomirski z obszernych włości swoich wywiódł „niezliczone mnóstwo chłopów. Stał Lubomirski ciągle po prawej stronie Wisły, silny na 40,000 przeszło ludzi „gotowych na największe narazić się niebezpieczeństwo.“ (Portofolio t. I str. 340). Było podobieństwo, że nasi dostaną Szweda głodem.

Ale Polacy pilnować nie umieli; wymknął się im cichaczem król szwedzki przez Wisłę. Dał znać zaraz o tém Sapieha Lubomirskiemu i Czarnieckiemu, którzy już sobie spokojnie szli przez Wielko-Polskę do Prus. Zamiast nękać w miejscu, szukali innych zwycięstw i nie otrzymali żadnego. Zaszli już tak daleko dwaj wodzowie, że powrócić na czas nie mogli, żeby zgnieść króla. Były o nich wieści, że porazili pod Toruniem generała Steinboka (Portofolio t. II str. 2—5); ale pobili tylko Duglasa i przeszkadzili połączeniu się księcia Dwóch Mostów ze Steinbokiem, który w skutek tego cofnął się za Wisłę. Po bitwie z Duglasem rozdzielili się; Czarniecki udał się do Prus, marszałek zaś zmierzał do króla, który myślał zdobywać Warszawę. Lubomirski, będąc w pochodzie swoim niedaleko od Łowicza, miasteczko to zajmując, poszedł pod Warszawę. (Portofolio t. II str. 18).

Lubomirskiemu zlecono oblegać Kraków. W tym celu w początku września dostał 8,000 posiłków. (Lettres str. 242). Zebrał się nieprędko. Szwedzi postrazeni opuścili Wiśnicz, zamek Aleksandra Lubomirskiego, brata marszałka. Dawał im 100,000 fr. właściciel, żeby zamku nie palili, ale barbarzyńcy zniszczyli zamek i ów piękny klasztor karmelitów bosych, co poprzednio ocalał. Popalili lawety od armat i poszli do Krakowa, nie nadwężywszy warowni, którą zaraz marszałek wiel. kor. swoją załogą obsadził. Palić wszystko co opuszczają kazał im król szwedzki, inaczej zlakomiliby się na pieniądzu. Później cokolwiek, kiedy rozpoznawał marszałek podjazdem stolicę, Wirtz wściekły wypadł z armatami za mury. Nasi cofnęli się, według rozkazu danego im poprzednio od marszałka, wciągnęli przez to Szwedów w zasadzkę i dobrze im skórę wytrzepali. Podpułkownik Wirtz zginął, co rzecz była ważna, i kilku oficerów; nasi zaś zawróciwszy, ścigali nieprzyjaciół aż pod bramy i Szwed przelęknięty już się odtąd nie śmiał puszczać na wycieczki za miasto. Marszałek myślał również zamknąć ich zupełnie, żeby nie mogli nawet wychylić głowy (Lettres str. 254—5). Z rozpaczki zakładali Szwedzi słomę po wszystkich domach, chcąc miasto w ostateczności zapalić.

Ścisnąwszy więc oblężeniem miasto, Lubomirski kazał popalić naokoło młyny i wiatraki i otoczył Kraków rzędem małych fortec. Dnia 18 listopada chciał przypuścić szturm do miasta; ale w jednej chwili w obozie jego w kilku miejscach się zapaliło, a ponieważ wiatr był silny tego dnia, w okamgnieniu zapaliły się budynki z żywnością i bagażami. Sądził nieprzyjaciel, że wojsko polskie przeznaczone do szturmowania razem całe pobiegnie gasić pożar, ale marszałek umiał wziąć się do rzeczy z takim ładem, tak mało użył ludzi do tłumienia ognia, że nieprzyjaciel, który na nieporządek liczył, nie mógł odważyć się na wycieczkę. Złapano na polu jednego z podpalaczy, inni ocalili się ucieczką. Ujęty szalonego udawał, ale wzięto go na męczarnie, żeby innych wydał (Lettres str. 278).

Tak do końca roku i po 4 stycznia 1657 r. marszałek oblegał Kraków. Były już wiadomości, że książę siedmiogrodzki wraca do Polski. Lubomirski gorzał chęcią boju, żeby z nim copędzić się spotkać (str. 293). W końcu stycznia książę przysłał swoje uniwersały na Ruś. Szlachta przemyska rozdierała je w obec posła siedmiogrodzkiego. Oburzenie było powszechne. Do obozu marszałka pod Krakowem zbiegała się zewsząd moc ochotników. Miał Lubomirski i tak 20,000 wojska, teraz rósł codziennie. Książę siedmiogrodzki, widząc że źle, wstrzymał się na pograniczu, a Szwedzi w Krakowie tymczasem na nim jednym opierali swoje nadzieje, że ich z niewoli wybawi. W końcu stycznia z rozpaczki zrobili silną wycieczkę za mury, ale zostali odparci, straciwszy 7 oficerów i wielu żołnierzy. Zjedli już swoje konie i czekali na śmierć z głodu (str. 297).

Rzeczywiście Rakoczy uratował Szwedów w Krakowie. Kiedy wkroczył do Polski, Lubomirski musiał zaniechać oblężenia, żeby spotkać go w polu. Było to w początkach lutego. Marszałek był jakimś krewnym i wielkim przyjacielem Rakoczego, ale jednak nie chciał go widzieć na tronie polskim, nawet chociażby przyjął wiarę katolicką (Lettres str. 299). Przebakowano albowiem tu i owdzie, że Marya Ludwika z Janem Kaźmirzem gotowi byli księcia tego uznać następcą tronu i sprawę o to podnieść w Polsce. Tu-

taj pierwsze może spotykamy ślady poróżnienia się marszałka z królestwem o elekcję za życia króla. Lubomirski odrzucał kandydaturę Rakoczego, nie wiemy dla jakich powodów. Może dlatego, że Rakoczy był jego przyjacielem i krewnym, a takim podlegać się nie chce.

Rakoczy szedł przez Ruś, pod Łańcutem stracił 800 ludzi i ociągając się o Przemyśl, doszedł do Krakowa, który zajął pierwszych dni marca. Lubomirski ciągle był mu na drodze, i jakby odprowadzał go do stolicy Jagiellonów. Naciągnął później i Czarniecki, już wojewoda ruski, i połączył się z marszałkiem. Czatował na nich obudwu Wirtz, komendant szwedzki, który wyszedł z miasta, mając 2000 swoich, artylleryą i oddział Węgrów, na zasadzkę w lesie. Ale Czarniecki lepiej się od niego sprawił, bo zaszedł mu z boku, odciął odwrot, rozbił wycieczkę i zabrał działa (Lettres str. 319).

Wkrótce nasi wodzowie cofnąć się musieli z pod Krakowa, bo biegł naprzeciw Rakoczego król szwedzki od Prus, a książę wystąpił także z Krakowa, kierując się na północ.

Gonitwy nie były długie. Kiedy książę dokazywał w Polsce, tymczasem oddział polski z Turkami wkroczył do Siedmiogrodu, a Niemcy cesarza rakuzkiego szli oblegać Kraków. Lubomirski wziął większą część wojska od hetmana wiel. kor. i własnej radząc się głowy, pośpieszył do ziemi siedmiogrodzkiej. Większa część szlachty zniszczonej, chłopstwo i służba dworska poszła z marszałkiem na wyprawę. Oddział jego z 4000 wojska urosł do 40,000. Wszystko to myślało łupić i zemstą sobie wetować łupy Rakoczego w Polsce. Opanował Lubomirski Muszkacz, miasto w którym mieszkała teściowa Rakoczego; ale na szczęście swoje zdążyła uciec do zamku, którego nasi nie mieli czasu zdobywać, chociaż były tam złożone skarby księcia (Lettres str. 333). Padł piorun na biedne książętko, który o łupach i koronie marzył. Sześć razy w cztery dni przysyłał do Jana Kaźmirza z prośbą o pokój, ale widząc że go ludzą, spalił bagaże, przeszedł Wisłę pod Sandomierzem i uciekł w poplochu; a tutaj zewsząd ścisnali go obręca Paweł Sapieha, Aleksander Połubiński, Czarniecki i Rewera Potocki, który szedł z resztą wojska, jaka mu została po Lubomirskim. Wodzowie dali znać marszałkowi aż przez sześciu posłańców, z obawy zapewne, ażeby się który nie dostał w ręce nieprzyjacielskie, że gonią księcia. Prosilili więc marszałka, żeby z wyprawy swojej wracał i obsadził wąwozy w górach, dla odciążenia Rakoczemu odwrotu (Lettres str. 337—7). Król osobno posłał rozkazy Lubomirskiemu, ażeby copędzić wracał z Siedmiogrodu i łączył się z wojskiem niemieckim cesarza. Marszałek, idąc do Polski, spotkał się z wodzami rzpltej pod Międzybózem. Czarniecki głównie prowadził wojnę, tutaj dopiero hetmani wstrzymali jego zapal. Marya Ludwika opiekowała się księciem, dlatego cudem ocalał: Lubomirski ostrzegł go o Tatarach, Jan Sapieha do granicy odprowadził.

Na tej siedmiogrodzkiej wyprawie już Lubomirski był hetmanem polnym kor., mianowany na tę godność w kwietniu 1657 roku, po Stanisławie Lanckorońskim, wojewodzie ruskim. Wyniesienie Lubomirskiego do buławy jest dziełem wyłącznie Maryi Ludwiki, na nią zaś wpływał tutaj Andrzej Morsztyn, referendarz kor., którego Lubomirski wprowadził na dwór i tym sposobem pozwolił mu wynieść się wysoko. Morsztyn był to dyplomata prawdziwy, jakich nam zawsze brakowało: chytry, do intryg podatny, ulubieniec Maryi Ludwiki. Królowa już w głowie osnuła sławny swój projekt elekcyjny i potrzebowała ludzi. Na Morsztyna mogła rachować. Referendarz wdzięczny wciągając począł do sprawy Lubomirskiego i był pośrednikiem pomiędzy nim a królową. Wystawiał Maryi Ludwice, może i zbardzo, wziętość marszałka; przyrzekał jej, że ujęty i dobrodziejstwami zjednany, dobrze usłuży. Tém się tłumaczyły te dobre stosunki, jakie widzimy, Lubomirskiego z królem, po tylu obrazach i żalach. Jan Kaźmirz miał osobiście wstręt nieprzewyciężony do Lubomirskiego, ale Marya Ludwika ciągle brała jego stronę, a że co chciała robiła z mężem, stało się że marszałkowi wszystko zapomniano, że nie wzięto mu laski, że co chwila dawano mu starostwa i wreszcie dano buławę. Musiało być wielkie zaufanie Maryi Ludwiki do Lubomirskiego i rzeczywiście było, ale że się tak wyrazim, na pamięć. Bo królowa nie z przeszłości sądziła o marszałku, przeszłość ta mało jej dawała rękojmi, ale z nadziei na przyszłość, z zapewnieniu gorących Morsztyna.

Nie byłoż wodzów zdolnych do buławy w Koronie za Jana Kaźmirza? Byli, jak zawsze. Ale najświetniej błyszczał pomiędzy nimi wojewoda ruski Stefan Czarniecki i najwięcej w ciągu wojny szwedzkiej rzplta jemu była winna. Przebiegał różne strony

kraju jak wichur, porażał jak grom. A jednak Czarniecki nie został hetmanem, tylko Lubomirski. Pierwszy minister rzpltej mało widać miał swojego dostojństwa, sięgał po takie, które słuszniej daleko innemu wziąć wypadało. Obowiązków nawet hetmana i marszałka, tak różnych od siebie, nie mogłaby winnej cywilizacji jedna osoba sprawować; u nas to jednych uchodziło, bo, jak powiedzieliśmy, starostwa i dostojności były dla panów, nie dla wygody rzpltej.

Taka niestosowna nominacja zabolala niezmiernie Czarnieckiego, który od lat bardzo dawnych marzył o buławie. Dzisiaj złożył świetne zdolności swoich wodzy, a jednak ubiegł go w łasce pańskiej szczęśliwszy. Dlaczego tak? Mówili ludzie, że król dał buławę panu, a pominął chudego pachotka. To nietrafne. Nie pochlebiał król z zasady bucie pańskiej, a Lubomirskiego nigdy nie lubił. Lubomirski nie był zresztą tak dawnym panem, był tylko wnukiem swojego dziada, który pierwszy z Lubomirskich wyrósł na pana. Czém dla Lubomirskich był Sebastyan, tém dla Czarnieckich Stefan, a przecież wnuk Stefana niekoniecznie jeszcze byłby panem. Lubomirscy starali się wszelkimi sposobami o. państwo, to niezawodna, ależ trudno przypuścić, żeby marszałek Czarnieckiego uważał na równi z Żydkiewiczem. Wojewoda ruski jako szlachcic był równy wszystkim, jako senator najwyższym. Maryi Ludwiki to sprawa, która w Czarnieckim widziała tylko waleczność, a w Lubomirskim rozum stanu. Otóż kończyła się epoka dla waleczności, otwierała się epoka dla zabiegów dyplomatycznych. To tłumaczy nominacją.

Nekano Szweda na Pomorzu i w Prusiech. Czarniecki przeprowadził się aż do Danii. Wchodzono w układy z sąsiadami, żeby się pozbyć wojny copędzić. Ale były wielkie trudności. Austria się wahała, król szwedzki dawał dowody złej wiary, jednej Francji przyjęto pośrednictwo. Ani pokój, ani wojna nie posunęły się na krok w roku 1657—8. Dlaczego? Bo Marya Ludwika zdradzała rzpltą przez ugodę welawską, bydgoską, żeby rozpocząć copędzić sławne swoje intrygi elekcyjne.

Lubomirskiego powołał król z woli Maryi Ludwiki do Prus i ciągnęła się tam leniwo i bez skutku kilka lat wojna, bo nie było czasu prowadzić jej mocno, dla przyszłych zabiegów elekcyjnych.

Byli i oboje królestwo w obozie pod Toruniem. Ciągnęły się szturm pod tém miastem, ale bez stanowczego skutku, chociaż królowa sama baszły zwiadzała, przyczém jej Lubomirski towarzyszył. Przypatrzyła się w przykopach celowaniu i nabijaniu, a robiła to bez niebezpieczeństwa, bo przykopy nasze były tak głębokie i kręte, że przechodzić się po nich było można, jak po gankach w ogrodzie. Kupowała zagranicą książki o fortyfikacjach, o sztuce oblegania twierdz, o artylleryi (Lettres st. 469—474).

Kiedy wojsko cierpiało zimno i słoty, zwodząc potyczki pod miastem, którego dobyć nie mogło, dla braku sił i małej ze strony wodzów znajomości sztuki brania fortec, Marya Ludwika ciągle bawiła się w plany przyszłej elekcyi. Marszałek klócił się z Niemcami, którzy pomagać nam przyszli od cesarza, a nie nie robili i byli jeszcze wielkim ciężarem rzpltej: kraj opłacał ich za nic. Z generałem tych Niemców, Sussem czy Souches'em, przyszło wreszcie Lubomirskiemu do śmiertelnej nienawiści. Souches od trzech miesięcy przypuszczał szturm do najmniej obronnego miejsca. Zaczynał później od innych i tém działaniem wspólne paraliżował: lada rów nieosuszony był dla niego tą nieprzewidzianą przeszkodą, o którą łamała się usiłowania wodzów polskich. Szwed, uwolniony od Niemców, tém zwawiej naciskał stanowisko marszałka. Czasami tak bywało, że nasi zdobyli reductę jaką lub przykop opalissadowany, ale jazda cesarska, przeznaczona do wspierania piechoty polskiej, nie chciała dać stu jeźdźców spieszonych i stała nieczynna, bo konie rowów przeszkakiwać nie mogły. Taki szturm był w nocy z 16 na 17 listopada. Po przeszło pięciogodzinnej walce, kiedy nasi zaczęli wchodzić na szanice, już marszałek, który sam jeden walczył przez złą wiarę Niemców, dał rozkaz do odwrotu, gdy hajducy gwardyi królewskiej wpadli z szablą w rękę na Szwedów i całkiem ich wyparli. Zastali tam wbastyonach postawionych nad rzeką, działa zagwożdżone, wielkie zapasy granatów, kul karabinowych, prochu, słoniny, mąki, piwa i chleba. Nasi pod samą bramę miejską ścigali Szwedów, a niekierzy chcieli ją rękami wysadzić. (Lettres str. 466—7).

„Forteca jest warowna, opowiada Des Noyers, lecz Francuzi jużby ją dawno zdobyli.“ (str. 459—74). I sprawiedliwie przymawia Polakom: „dopóki nie zarzucimy, mówi w ich imieniu, dawnego sposobu wojowania, nic nie wskóramy, chociaż mamy ludzi dostatek, jesteśmy wprawdzie cokolwiek bieglejsi od

Turków i Tatarów, ale z zachodnimi narodami nie możemy się równać.“

Lubomirski na obronę zdobytego bastionu, który stał odosobniony, wznosił niepotrzebnie warownie. Szedł od niego przekop z murem i rzeką połączony, na 3—4 sążni szeroki i suchy, który port zamykał. Ten zdobyć, a miasto się podda. Chciał to zrobić Lubomirski za pomocą nowego szturm, gdyż w ciągu całego oblężenia jeszcze ani jednej miny nie założono, dla braku znajdujących się na tym ludzi (tamże str. 469). Był i drugi powód niefortunnych szturmów: dział nie było, wszystkie zabrali Szwedzi z całej Polski. Dwa tylko mieliśmy wielkiego kalibru, inne nie zdaly się do tłuczenia murów. Prochu brakło, a młyny wszystkie popsuli Szwedzi. Popelnili i Lubomirski wielką niezgrabność. Puszczono oficera z załogi i sekretarza Oksenierny do Malborka, z raportem do księcia Adolfa i z prośbą o pomoc. Pierwszy lepszy wódz zagranicą byłby zmusił wprzód miasto ledwie się trzymające do kapitulacji, a potem pozwoliłby na taką wycieczkę załodze (Lettres str. 473). Ślicznie także radził generał Souches królowi, żeby zdjąć oblężenie Torunia, a rozpocząć je na wiosnę. Austria widocznie chciała, żeby w Prusiech nie kończyła się nigdy wojna dla rzpltej (str. 475).

Wreszcie około połowy grudnia Toruń kapitulował. Oksenierna układał się i chciał, żeby rozjem zawrzeć do marca w całych Prusiech. Naturalnie tego warunku nie przyjęto, po części za staraniem królowej, która spodziewała się za jednym zamachem po Toruniu zdobyć Grudziądz, miasto swoje oprawne. W razie niedojścia kapitulacji, nasi byli gotowi wziąć Szwedów do niewoli; ale 23 grudnia podpisano ją rano, późno cokolwiek, bo Niemcy z całych sił przeskadzali. Dnia 30 grudnia Szwedzi wyszli nędzni, kawalerya bez koni, a chorych zostawili w mieście (Obszerniej w Lettres str. 478—493) Zawieszenie broni w Prusiech zawarte zostało do 15 lutego.

W lutym nowe po Prusiech szwedzkie gonitwy. W marcu zgromadziło się grono kommissarzów w Toruniu, dla zawarcia pokoju; ale po miesiacu narad, rozszło się przez intrygi elektora brandeburskiego i cesarza. Wojska do nowej zabierały się wojny. Hetman każdy otrzymał przeznaczenie: Potocki na Ukrainie, Sapieha w Litwie, Lubomirski w Prusiech, Czarniecki odwołany z Danii.

Na sejmie w marcu, na którym król i senatorowie poprzysięgli układy hadziackie, a między nimi jako hetman i Lubomirski, powrócono tak nazwane „assekuracye“ wojewodzie sandomierskiemu, wnukowi wielkiego Jana Zamojskiego i marszałkowi Lubomirskiemu „którzy z miłości swojej ku nam i całej rzpltej, mówią konstytucyja, dobra swoje wszystkie dziedzinne na ujęcie wojska podczas zamieszania rzpltej przez assekuracye wojska za nas i rzplta dane osieracali“ (Vol. legum t. IV str. 592). Ponieważ kommissyja, ze Szwedami na sejmie zeszyłym postanowiona, do skutku nie przysłała, przeto ją odnowiono i do niej, jak wprzód, powołano marszałek (tamże str. 593). Wybrany również do rewizji skarbu koronnego w Lubowli, dla honoru więcej, bo nie miał czasu przed wojną (str. 598).

Nie na rewizyją jednak skarbu koronnego, ale na wojnę pruską wybierał się z dóbr swoich w polowie lata hetman polny. Kilka dni w lipcu zabawiwszy w Warszawie, pojechał na Pomorze (Lettres str. 530). Ściągał tam wojska, które się nie skonfederowały, w czem widoczne były zabiegi rakuzkie. Był dostatek sił do pobicia Szwedów w Prusiech i Moskwy w Litwie, a nasi stali z założonemi rękami tu i tam, Pan Bóg wie na co czekając. „Nie staramy się o porządek, mówi znowu ten sam Des Noyers, ani o zdalnych dowódców; nagród tutaj co niemiara, ale karać kogo, broń Boże.“ (Lettres str. 535).

W sierpniu Lubomirski opasał Grudziądz i rozpoczął oblężenie o ośm miesięcy zapóźno. Mieliśmy wtenczas w całych Prusiech 10,000 piechoty i 5,000 jazdy, Szwedzi 6,000 wszystkich nie mieli, a jednak nie nie zrobiliśmy. (Lettres str. 537—94).

Nadspodziewanie został zdobyty Grudziądz. (Portofolio t. II str. 218—20).

Lubomirski chciał zaraz uderzyć na Malborg, ale to niepodobna było; wojsko miało niezmiernie słabe, chociaż napozór silne. Oprócz pułków samego hetmana i generała artylerji Grodzkiego, niepodobna było ufać świeżo zaciągniętej piechocie (Lettres str. 544).

Poszedł jednak hetman na Żuławy, na które w czterech czy pięciu miejscach odrazu uderzył. Chciał usadowić się na tej wyspie, żeby przedsięwziąć oblężenie Głowy (Haupta) albo Malborka. Już nawet naciąrał na jeden z portów malborskich i gotował się do szturm. W nocy z 26 na 27 września całe wojsko nasze przedarło się na Żuławy, w skutek bitwy, któ-

ra na trzech miejscach razem wrzała. Lubomirski bił się z całym swoim wojskiem od strony Malborka, elektorscy weszli przez Haff, który jeziorem był elbląbskiem, gdańszczenie przez Wisłę się przepawili, nie spotkawszy nawet oporu, który nieprzyjaciół stawał w dwóch innych miejscach. Pierwsze patrole szwedzkie, jakie wpadły w ręce naszym, wynosiły 1,000 piechoty i 700 konnicy (Lettres str. 550).

Król szwedzki szczerze myślał o pokoju, co było dowodem, że przysyłał kommissarzy do układów, które miały się zacząć w Oliwie lub gdziekolwiek w innym jakimś miejscu. Żądali Szwedzi zawieszenia broni, ale nasi nie przystali na to. Wszystko już tak się miało do pokoju, że nawet oboje królestwo z Warszawy do Prus wyjeżdżali, aby być bliżej miejsca układów. W czasie tych narad, nasi oblegali razem Głowę i Malborg. Posłał król rozkaz Lubomirskiemu, ażeby tylko szturmował silniej do Głowy, a Malborg bez boju obsadzał, bo po zdobyciu tego miasta, i Malborg i Elbląg same upadną (Lettres str. 553). Hetman polny zastosował się do tego. Głowa dzielnie się broniła: nie oszczędzono bomb i spalono niemi wszystkie zapasy twierdzy. Szwedzi prosili króla, który już się zbliżał do Gniewa, żeby pozwolił im zająć Tezewo swoją załogą i na trzy lub cztery mile około tego miasta dał im spokojność, żeby mogli sprowadzić żywność. W odpowiedzi sam król, jadąc do Gdańska, nocował w Tezewie (str. 560).

Nareszcie Haupt naszym się poddał. W dni kilka po wzięciu Hauptu, rozpoczęły się w Oliwie rokowania o pokój, w których jako jeden z kommissarzy rzpltej wziął udział Lubomirski. W czerwcu podpisano pokój niekorzystny.

Lubomirski poszedł wtedy na Ukrainę, jak o tym dawno marzył. Powiodła się mu świetnie wyprawa. Pod Cudnowem otrzymał zwycięstwo tak stanowcze, że tylko dobrej woli i więcej pilności było potrzeba ze strony króla, a mogła się raz na zawsze przeciąć wojna, w jaką wplątano się o kozaczyznę. To jedno zwycięstwo, co zaszczyt hetmanstwu Lubomirskiemu przynosi. Ale wojna świetnie zaczęta, nie była popiieraną i pozostała dlatego bez skutków.

Umysł odrywa się teraz od spraw wojny, ale i w pozornym pokoju rzpltej znajduje burzę, które rozpalają namiętności narodu w owym czasie.

Projekta o Rakoczym, o księciu tokańskim, już dawno posypały się popiołem mroku wiecznego. Królowa marzyła o wyniesieniu księcia d'Enghien na tron polski i o tym, żeby go z siostrzenicą swoją ożenić. Już w sierpniu 1659 r. tak daleko posunęła swoje roboty, że między znakomitemi pany stanął związek „pod opieką jej kr. mości“, który przyjaciół księcia d'Enghien związywał nawet przysięgą pomiędzy sobą. Dokument przez wielu już podpisany, posłano Lubomirskiemu, który był wtedy w Tezewie. Obraził się marszałek. To wdawanie się Maryi Ludwiki, ile kobiety, do rządów, do prowadzenia wojny, do traktatów, już dawno mu się nie podobało. To widzieliśmy. Teraz staje w kraju związek polityczny, który prawa narodowe chce zmieniać, i znowu pod opieką królowej. Ze względu więc, jak sam mówił, na uszanowanie winne majestatu królewskiemu, nie podpisał dokumentu, żądając ażeby związek pracował raczej pod opieką jego król. mości. Trudno było zbierać drugi raz podpisy i Lubomirski, zgodziwszy się na poprawkę „ich królewskich mości“, dokument podpisał.

Miłość własna Maryi Ludwiki cierpiała na tym wiele. Ale zamiast się umiarkować, królowa o wszystkim już zapomniiała na świecie i myślała tylko o jednym, to jest o zwolaniu coprędzej sejmu, któryby elekcyą za życia króla uznał za potrzebną i wyznaczył dla niej sposób, czas i miejsce, Lubomirski gorczył się, patrząc na te zabiegi gwałtowne, bo chciał żeby naród dojrzał i zwolna rozpatrzył się w tej sprawie, odwoływał się do praw i geniuszu rzpltej. Królowa go boleśnie obraziła. Wmawiała w niego dawniej, że elekcyja, jeżeli będzie, stanie się głównie za jego spótdziałaniem; teraz, widząc że Lubomirski markotny, już go pomijała i więcej się radziła innych przyjaciół, którzy w łasce dworu wzrastali, a mianowicie Czarnieckiego i Sobieskiego. Marszałek, którego niedawno co na sejmie kanclerz nazwał ojciem ojczyzny, którego dworzanie nazywali jasnie oświeconym, a więc księciem rzeszy, jakim był pokrywom, człowiek, co rzeczywiście szkatuły własnej nigdy dla rzpltej nie żałował, czuł że mu źle z tymi nowymi panami, którzy pieniądze na prywatne użytki marnowali. Duma i rodu i zasługi głośno się w nim odzywała. Czarnieckiego nienawidził zato, że długo niepodległe od hetmanów dowodził. Skarzył się na to i przez pychę arystokratyczną z przekąsem mawiał, że wojewoda był dworzaninem u jego ojca. Radził królowi całą si-

łą przenieść wojnę na Ukrainę, po zawarciu pokoju oliwskiego, a tutaj królowa radziła o elekcyi, a tutaj wodzowie łakomstwem swoim popychali wojsko do konfederacyi.

Lubomirski postanowił więc zerwać ze stronnictwem królowy.

Charakter jego dziwnie zmienny, bez niezłomnych przekonań politycznych, nieustannie się wahał. Zawsze go jakieś osobiste pociągały widoki; a Marya Ludwika nietrafnie je odgadyla, widząc coraz większą obojętność marszałka dla sprawy. Na dworze mówiono, że cesarz i elektor brandeburski, chcąc przeszkodzić elekcyi za życia, obiecywali mu koronę po śmierci Jana Kazimierza. Mówiono potem, że Lubomirski chciał na tronie posadzić młodego Rakoczego, z którego matką chciał syna swego ożenić. Ale łatwo się przekonano, że powodem niechęci nie było ani jedno, ani drugie. Prędzej zazdrość powodzenia księcia d'Enghien, prędzej obawa, że za przybyciem domniemanego następcy tronu Polski, marszałek upadnie w powadze i znaczeniu, wpływały na usposobienie jego. Przypomniało sobie jednak, że Lubomirski pierwszy podał królowej myśl o księciu d'Enghien, wtenczas kiedy Marya Ludwika była najlepiej z dworem rakuzkim i popierała do tronu arcyksięcia Karola, którego marszałek stanowczo nie chciał. Królowa mniej podówczas na to zważała, bo jeszcze nie domyślała się nieszczerzego postępowania cesarza i chciała się także przekonać, czy wielu panów będzie tego samego zdania co Lubomirski. Po niejakiem czasie przystała na księcia d'Enghien i powierzyła zupełnie marszałkowi wybór środków, aby cel osiągnąć. Przez długi czas Lubomirski był jedynym powiernikiem królowej w tej sprawie. Ale Marya Ludwika szukać zaczęła innych stronników, którzy mieli zręczność przypatrzeć się gorliwości marszałka. Powstała zazdrość pomiędzy panami, której królowa tłumić nie umiała. Lubomirski w ogóle nie miał przyjaciół. Uważał, że królowa bardziej się innym powierza, aniżeli jemu, i żalił się na to przed Morsztynem. Na domiar nieszczęścia, najniezręczniejszą królowa osobiście obraziła marszałka w hetmańskiej godności, sądząc że go ujmie. Lubomirski ciągle miał oczy zwrócone na Ukrainę, i bardzo sprawiedliwie. Królowa zwierzyła mu się tedy, że jest zamiar oddać następcy tronu, jak przyjedzie do Polski, naczelne dowództwo na Ukrainie; wojsko rozłożyć się miało w okolicach na zimowe leże, a sam książę główną kwaterą stanąć w Kijowie. Obraziło się hetmanstwo Lubomirskiego. Spodziewał się lada chwila wziąć buławę wielką po starym i osłabionym Rewerze Potockim, godność najwyższą w kraju, godność, którą poczytywał za swój główny urząd, i źródło wziętości w narodzie, a tutaj mu na dziwną pociechę natrącano, że trzeba się rozstać z najdroższymi marzeniami; wyglądało to na urągawisko, co weale urągawiskiem nie było. Co większa, widział jak jego nieprzyjaciele, Czarniecki, Sobieski, Jan Sapieha, obożny Andrzej Potocki, niecierpliwili się, żeby coprędzej książę stanął na ich czele i jak powtarzali, że marszałek wtedy przy nich odegra podrzędną rolę. Odwaga, mężstwem, znajomością wojny, przewyższali go wszyscy ci panowie, a nie znosili pychy. Wszystkie te okoliczności razem wzięte zrobiły z Lubomirskiego wroga zamyslanej elekcyi. Skłonności oligarchiczne pochłaniał w sobie i zdobył się na zamiar obrony wolności szlacheckich, których z natury swego temperamentu nie lubił.

(Dokończenie nastąpi).

CHORWACYA I SŁAWONJA.

Wojskowe pogranicze. Serbska wojewodowina i banat.

ciąg obrazów naszych z południowej Słowiańszczyzny przerwaliśmy w przedostatnim tomie Tygodnika na Dalmacyi. Z kolei przychodzi nam dziś mówić o Chorwacyi i Sławonii, które nie tylko z opisaną już prowincyą bezpośrednio sąsiadują, ale nadto, jak to już w krótkim na dzieje Dalmacyi poglądzie wspomnieliśmy, kiedyś stanowiły jedną z nią polityczną całość, a i dziś nawet idealnie stanowią jakoby mają. Po przejściu bowiem Dalmacyi, w początkach bieżącego stulecia, pod władzę austriackiego domu, zaprowadzoną w niej została odrębna zupełnie, w niczem zresztą do konstytucyi chorwackiej nie zbliżona; administracyja, która dotychczas się utrzymuje. Tytułarnie jednak liczy się, pod nazwą troisto-jednego królestwa, za jedną z Chorwacyą i Sławonią całość, i w zasadzie przyjęte jest podobno zjednoczenie jej istotne z temi prowincyami, do których z historycznego należy prawa. Ale, jak dotąd, zasada i tytuł ist-

nieją sobie swoją, a niekonstytucyjną *status-quo* swoją drogą, i zdaje się że ta tymczasowość w nieskończoność przedłużyć się może.

Co do Chorwacy i Sławonii, te pozostawiając *de facto* ciągle z sobą złączeni, aż do 1844 r. spoje- nie były z Węgrami w jednym konstytucyjnym, zabezpieczającej im najzupełniejszą narodową samodzielność, obok znakomych politycznych swobód. Nieuwzględnienie tych praw historycznych przez sejm węgierski wspomnianego roku, doprowadziło pomiędzy Węgrami a słowiańskimi ich współobywatelami do zerwania, które się klęską Węgrów i upadkiem konstytucyjnego ich gmachu zakończyło. W chorwacko-słowiańskim królestwie przecież, które w wojnie węgierskiej po stronie cesarskiego dworu walczyło, życie konstytucyjne dawniejsze i urzędzenia, przynajmniej co do formy, utrzymanymi zostały.

W obecnym swym składzie królestwo to obejmuje do 333 mil kwadratowych i około miliona mieszkańców, z których jakie 400,000 wschodniego, reszta zaś rzymsko-katolickiego obrządku. Ludność ta cała, z niezmiernie mało znaczącym wyjątkiem, jest chorwackiego lub serbskiego pochodzenia i języka. Pod względem topograficznym kraj ten tworzy długi a wązki klin, od zachodu na wschód pomiędzy Węgrami a Bosnią wciśnięty. Wschodni jego koniec, ujściem Drawy do Dunaju objęty, styka się z tak zwaną serbską wojewodziną; zachodni opiera się o Adriatyckie morze, Krainę i Sztjersko. Od granicy tureckiej oddziela go wojskowe Pogranicze, które w kilku miejscach głęboko się w terytorium jego wrzyna i gdziekolwiek zupełnie jego jednolitość przerywa.

Powierzchnia kraju przeważnie górzysta, jakkolwiek wielkich wyniosłości niema. Wschodnia jego część, to jest Sławonia, obok wielu bagien i mokrzadeł, mieści znaczne przestrzenie urodzajnej ziemi; zachodnia natomiast, czyli właściwa Chorwacya, daleko gęściej przetrzęta skalistymi wzgórzami, dzikością swą i nieurodzajnością czarnogórskie opoki przypominającą. Po wyniosłościach tych, zwłaszcza bliżej morza, wieją wiecznie gwałtowne wichry, zimną do takiej dochodzącej siły, że mieszkańcy ogromnymi głazami i kłodami drzew domostwa swe przytłaczać muszą, aby razem z niemi porwanymi nie zostali. Z powodu takiej natury gruntu, dwie piąte części całego zjednoczonego królestwa dzikiem zarastają lasem. Tę jednak niezyciowość przyrody nagradza cudowny klimat, każdą w zaciszy położoną pięćdziesiąt rodzinną ziemią w kwitnący ogród zamieniającą. Prócz wszelkiego rodzaju zbóż, udają się tu wybornie wino, morwy i inne południowe owoce, z których szczególnie śliwki w wielkiej ilości uprawiane i suszone zagranicę wysyłane bywają. Bydła, koni, owiec, a szczególnie świń, wielka obfitość. Z mineralnych płodów siarka w znacznej znajduje się ilości. Z rzek znaczniejszych, oprócz Drawy i Dunaju, od północy i wschodu granicę stanowiących, Sawa przepływa pośredkiem Chorwacy, dając do połączenia się z Dunajem.

Ludność połączona królestwa, obok nieznacznej ilości mieszczan, składa się z ludu i szlachty. W liczbie tej ostatniej, obok hrabiów i baronów, części z dawnych magnackich rodzin, części nowo tytułami temi ozdobionych, znajduje się także znaczna stosunkowo mnogość drobnej, ubogiej, u nas zagonową zwanej, szlachty. Rdzeń główny tego społeczeńskiego stanu, umiarkowaną ciesząc się zamożnością, zajmuje podobnie jak i u nas miejsce tak zwanego na Zachodzie średniego stanu. Lud pozostaje na niskim bardzo stopniu ukształcenia, którego brak wiernością dla dawnych tradycji zastępuje.

W siołach chorwackich i sławońskich przechowało się dotąd w pełnej sile wiele zajmujących staro-słowiańskich obyczajów i urzędzeń, których u północniejszych plemienia tego ludu, tu i owdzie rozproszone i słabe napotykać możemy ślady. Jednym z najważniejszych i najbardziej interesujących zjawisk jest starożytny ustrój rodziny i gospodarstwa, przez wielu najniewłaściwiej patryarchalnym zwany. Patryarchalny bowiem ustrój w gruncie jest czysto despotycznym. Patryarcha, z tytułu swego wieku i powszechnego ojcostwa rodziny, jest samowładnym panem i rozkazodawcą jej członków, którzy tylko obowiązki, ale żadnych praw w obec niego nie mają. Słowiańska zaś rodzina, czyli gospodarstwo, jest w całym znaczeniu tego słowa wspólka, w której pojedynczy członkowie tyle tylko z własnej zrzekają się wolności, ile dla pomyślnego prowadzenia ogólnych interesów jest nieodzownym. Najwyraźniejszą zaś różnicę od zasady patryarchalnego rządu przedstawia służące wspólce prawo wybierania sobie dowolnie naczelnika. Ażebyśmy o ile możności dokładne urzędzenia tego

powzięli pojęcie, wstąpmy do wnętrza jednego z tu- tejszych domostw.

Budynek mieszkalny jest zwykle drewniany, o ma- lenkich okienkach, tak z zewnątrz jak wewnątrz z naj- wyższą zbudowany prostotą, po największej części bez komina. W kuchni niema żadnego stropu, a dym z o- gniska, ponad którym wisi na łańcuchu żelazny lub miedziany kocioł i wędzą się polcie słoniny, wydoby- wa się jak może przez szpary dachu i ścian.

Z sieni, bądź to po prawej, bądź po lewej ręce, wstępuje się do świetlicy, która u zamożniejszych czy- sto utrzymywana i o ile podobna przyozdobiona by- wa. Przez dzień tu się zgromadzają, ilekroć są w do- mu, wszyscy członkowie rodziny i służby; właściwie jed- nak świetlica służy za pomieszknię gospodarzowi sa- memu z żoną i dziećmi. Dorosli i żonaci synowie gospodar- czy zamieszkują osobno tuż przy domu wystawione chaty, czyli komory, za cały sprzęt mieszczące w so- bie: łóżko, warsztat tkacki i szafę lub skrzynię na rzeczy. Pieców w komorach tych niema, i dlatego w zi- mie wszyscy domownicy spijają w świetlicy gospodar- skiej, mieszcząc się jak mogą.

Nieopodal od mieszkań stoi szopa, gdzie się mieści kilka koni lub wołów, kilka krów, stadko owiec i prosiat, coś drobiu, a obok tego gospodarskie narzę- dzia i przyrządy. Ziemi do gospodarstwa takiego na- leży od dwudziestu pięciu do czterdziestu morgów.

Jeżeli gospodarstwo posiada maksimum wyżej wy- mienionej przestrzeni, wtedy liczba żyjących w niem dochodzi niekiedy do pięćdziesięciu, a nawet sześć- dziesięciu osób. Najpospoliej jednak bywa ich od dzie- sięciu do piętnastu; na całkiem zaś małych obszarach cały dom stanowi tylko gospodarz z dziećmi.

Najczęściej do jednego gospodarstwa należą nastę- pujące osoby. Naprzód gospodarz, tak że *stareszina*, lub *domaczin* zwany, około lat pięćdziesięciu wieku liczą- cy, i jego żona. Dalej rodzice gospodarza, do siedm- dziesięciu lat wieku mniej więcej dobiegający, tudzież stryj jego z żoną. Dorosłe i dorastające dzieci dopełniają liczby pracowników.

Gdy się gospodarz tak zestarzał, że się mniej zdol- nym stał do pracy, składa dobrowolnie władzę w in- ne ręce. Niezawsze jednak urząd ten dostaje się naj- starszemu po nim, ale temu, którego za najroztrop- niejszego i najzdolniejszego uważa, bez względu na wiek i stopień pokrewieństwa. Jeżeli jednak rodzina z rządów obranego zadowolona nie jest, sama sobie stanowi innego *stareszine*.

W razie jeśli dorastająca młodzież przewyższa uby- tek przez śmierć w domu spowodowany, przybył ten nie obciąża gospodarstwa; zbywające bowiem od zwy- kłej potrzeby indywiduala udają się do rzemiosł, w służ- bę, do wojska, a niekiedy, gdy rodzina ma środki po temu, do szkół, z kądem, jak to mówią, na ludzi wychodzą. Dziewczeta, jak się to samo z siebie rozumie, o- puszcza dom idąc zamąż.

Obok takich, wężłami rzeczywistego pokrewieństwa związanych, gospodarstw, istnieje jeszcze drugi rolni- czych wspóltek rodzaj, pod nazwą *zadruga* zwany. Jest to związek pewnej liczby czeladzi z właścicielem ziemi, który z rodu własnego nie posiada dostatecz- nej liczby rąk do uprawy. Czelaź do takiego związku wstępuje bądź to nazawsze, bądź na jakiś czas oznaczony.

Gospodarz który założył zadrugę, przestaje być panem swego gospodarstwa, jest jedynie jego naczeln- nikiem i zarządcą, a i to tylko tak długo, dopóki właściwemu obchodzeniem się z współnikami i mą- dрым rządem na zaufanie ich zasługuje. W przeciwnym razie członkowie zadrugi odbierają mu władzę, i tę na obranego przez się *stareszine* przenoszą.

W razie jakiegoś ważniejszego wypadku lub przed- sięwzięcia, przed rozporządzeniem prac i t. p. wszy-scy członkowie schodzą się na radę i sprawa powszech- nym załatwia się porozumieniem. W zwykłym biegu gospodarstwa *stareszina* rozrządza kto co ma robić, kupuje czego potrzeba, sprzedaje plody, składa pi- niądze do wspólnej kasy, płaci podatki i t. d. Od- prawianym w domu modłom on przewodniczy; on także przyjmuje gości w domu i je z niemi, podczas gdy reszta czeladzi za drugim zasiada stołem.

Kto na czas jakiś do zadrugi przystąpił, przy wy- stąpieniu z niej otrzymuje przypadający nań dział z uzyskanych przez czas jego współnictwa korzyści. Kto się związał nazawsze, stał się rzeczywistym współwłaścicielem gospodarstwa, ale natomiast prze- stał być wolnym osoby swęj panem. Równie bowiem jak pierwotnemu właścicielowi, tak i każdemu z za- wiązanych w zadrugę członków samowolnie wystą- pić z niej nie wolno. Rozwiązanie wspólki, rozdzie- lenie jej na części, lub usunięcie się pojedynczego

członka, tylko za powszechną zgodą miejsce mieć może.

Oprócz wspólnej, wolno jest członkom zadrugi po- siadać prywatną własność. Zwykle ma każdy sztukę swego dobytku, która razem z wspólnym stadem się pasie, i kęs winnicy lub ogrodu. Wolno mu także przypadający nań dział z korzyści odebrać i na procent wypożyczyć.

Dorastający synowie członków mogą się żenić kie- dy im się podoba; owszem towarzystwo jest rade gdy mu przybywa rąk zdolnych do pracy. Zwykle też młodzi żenią się bardzo wcześnie, najczęściej przed dojściem dwudziestego roku życia. Dziewczeta wychow- ywane bywają aż do zamążpójścia, a wtedy w miarę ruchomego mienia wspólki wyposażane. Do mie- nia nieruchomego nie mają prawa. Gdzie w gospodar- stwie rąk niedostatek, żeniący się z dziewczką wcho- dzi w spółkę. Najmniejszych robotników używa zadruga bardzo rzadko i to tylko w ostatecznej potrzebie.

Tryb życia i pracy mniej więcej we wszystkich gos- podarstwach jednaki. W lecie dorosli idą w pole, dzieci do szkół, dorostki pasą dobytek. Gospodyni z drobną działką zostaje w domu, gdzie przyrządza dla wszystkich strawę i domowem zajmuje się gos- podarstwem. W niektórych okolicach wszystkie do do- mu należące kobiety kolejno po tygodniu sprawują ten obowiązek. Matki karmiące, a idące do roboty, biorą z sobą niemowlęta. Obiad pracownikom w po- le donoszą pastusi, stada na południe przypędziwszy.

Gdy jakie gospodarstwo nie może o własnych si- łach pośpieszyć z jaką pilną pracą, przyzywa w po- moc sąsiadów, którzy takowej odmawiać nie zwykli. Takie pospolite ruszenie, *morba* zwane, jest rodzajem święta. Przez dzień cały pole brzmi pieśniami ściga- jących się o lepszą pracowników, a wieczorem, kie- dyby się zdało że każdy uznojony spocząć śpieszyć się będzie, wesola młodzież w najlepsze puszcza się w tany.

Długimi wieczorami i przez zimę całą mężczyźni zajęci są przygotowaniem różnych potrzeb i narzędzi, które prawda nie są wyszukane ani rozliczne, ale wszystkie w domu zrobione być muszą. Rozdział prac nie jest tu znany, i wieśniak chorwacki, począwszy od chaty którą sam stawia, musi być w potrzebie cie- ślą, kołodziejem, rymarzem, bednarzem i t. d.

Kobiety przez ten czas tkają i przędą na bieliznę i odzież dla mężów, dzieci i siebie. Rzadko kiedy *stareszina* przykupi coś płótna na ogólną potrzebę; czę- ścię już sukna na odzież. Obuwie jedno zazwyczaj kupne bywa.

Najpospolitszy ubiór wieśniaków i wieśniaczek tu- tejszych jest następujący.

U mężczyzny na nodze zazwyczaj but, daleko rza- dziej, na sposób naszych kurpi lub druciarzy, oplecio- ne *opanki*. Szerokie spodnie płócienne, raczej na bu- ty niż w buty puszczone. Koszula krótka, zachodząca na spodnie, wązkim pasem w biodrach związana. Ka- mizelka zwykle błękitna, czerwona lub czarna, z przodu i z tyłu z tężej samej materii. Na głowie kape- luz czarny lub słomiany, niski, o szerokim brzegu, u młodych kwieciami naturalnym lub sztucznym ozdobo- ny. Przez ramię nieodzownie wisi torba skórzana, ca- ła metalowemi nabita gwoździkami. Bez torby tój, w której się mieści lulka, tytuń, krzesiwo, woreczek z grosiwem, a niekiedy łyżka i widelec, wieśniak chorwacki nie robi ani kroku i już drobne chłopcy nie ruszą się bez tego dość na ich siły ciężkiego brze- mienia.

Kobiety noszą trzewiki, rzadko buty. Suknię białą, z takimże stanikiem i długimi rękawami. Głowa u- czesana w dwa warkocze, ozdobione na końcach wiel- kimi kokardami, a niekiedy związaną pod brodą lub w około czoła chustką pokryta.

Lud obu płci i wszelkiego wieku zwykle śniadęj bywa cery; rumieniec rzadko na której twarzy wi- dzieć się daje.

Nie potrzebujemy zdaje się dodawać, że przy tak gromadnym i ujętym w karby domowem życiu, pa- nować musi wielka obyczajów surowość. Wykrocze- nia przeciwko niej należą do niewidzianych prawie przykłałów. Małżeństwa, jakkolwiek je zwykle kojarzy wyrachowanie gospodarze, a nie miłość, żyją zgodnie. Kobiety tylko kłócą się często pomiędzy sobą i naj- częściej ich niesnaski bywają rozdzielania się zadrugi powodem.

Miejski żywioł mało jest w krajach tych rozwinię- ty. W Chorwacy i Sławonii razem istnieje tylko dzie- więć jako tako na nazwę tę zasługujących miast, a i w tych, z wyjątkiem jednego *Rieki* (*Fiume*), przemysłu żadnego, handel mało znaczący, rękodziela na niskim stojące stopniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).